

965



WYBÓR POWIEŚCI
J. I. KRASZEWSKIEGO.
(WYDANIE TANIE).

SERYA II.

Tom dwudziesty dziewiąty.



Z ŻYCIA AWANTURNIKA.

OBRAZKI WSPÓŁCZESNE

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

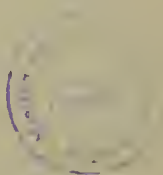
TOM II

WARSZAWA.

NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA.

—
1884

Дозволено Цензурою.
Варшава, 11 Января 1884 года.



Pan major Zaklika spieszył się bardzo do domn, wołał ciągle, że mu żyto spasa i pszenicę wytłuka. — Trzeciego dnia meble zostały sprzedane... zostawały książki. Ks. Strużka ich nie potrzebował, pojedynczo je licytować nie było czasu i major uważał, że się to nie opłaci. Kanonik dopiero zreflektował go, że może by należało kazać ocenić i przekonać się, co są warte... Major się na to zgodził. — Poproszono profesora Kudelkę, który w tych rzeczach za wyrocznię uchodził. Staruszek się nie wymawiał nigdy od katalogowania i cenienia, dawało mu to zręczność dostania czasem czegoś braknącego w bibliotece, i obeznania się z nieznanemi książkami.

Przyszedł więc na kanonję. — Otworzono szafę, z której woń zbutwiałych, od dawna zamkniętych foliantów rozeszła się po izbie. Kudelka żarliwie wziął się do roboty.. Zbiór nieboszczyka Jeremiego znać w różnych okolicznościach i przypadkowo prowadzony, nadzwyczaj był nierównej wartości. Obok obrzydłych edycji na bibule z końca XVIII wieku znajdo-

wały się szacowne inkunabuły. Przy dwudziestej siódmej edycji Alwara i książkach szkolnych, nie mających żadnej ceny—trafiły się zółtarze i biblie polskie prześlicznie dochowane... Pięć czy sześć godzin jedna półka kosztowała, nim nabite księgi wydobyto i na dwie kupki rozdzielono.

Major. który stał pykając z fajeczki i strasznie się nudził, rad był to już jak najrychlej ukończyć.

— Panie profesorze dobrodzieju—odezwał się—zadajesz sobie pracę niezmierną... dalipan to tego nie warto. — Ot tak, powiedzże — hurtem ile za to żądać.—

— Na żaden sposób nie podobna tak ocenić—odparł Kudelka—są rzeczy wcale dobre, ale i śmiecia pełno...

— No—ale mniej więcej, nalegał major.

— Niepodobieństwo bez krzywdy waćpana ocenić.

— Ale bodaj z krzywdą—cóż te rupiecie warte... na żydy...

— Naprawdę, nieśmiałybym cenić...

— No — dziesięć czerwonych złotych? he? spytał major.

Kudelka, któremu bibliomana serce bić zaczęło—odwrócił się i słabym głosem odezwał się.—A to już ja, choć nie mam pieniędzy, dam panu majorowi piętnaście...

— Dasz? dasz piętnaście? podchwycił major — człowiecze kochany? dasz mi piętnaście?

— A no—dam...

— To bierz! bierz! pakuj, zabieraj. bo żydzi szafę kupili i trzeba ją też oddać... słowo...

— Słowo! zawołał Kudelka drżącym od radości głosem.

— Nie masz już co rejestrować, patrzeć... nudzić siebie i mnie... chybił trafił... od żłobu do żłobu... komu tam Pan Bóg da szczęście—rzekł major i począł Pawła wołać. obawiając się, aby mu kupiec się nie cofnął.

— Pawle — koszów i noszów — zanieść te książki do profesora—kołtun mi ostatni z głowy spadł, a jutro rano—do domu...

Uściskał potem Kudelkę.—Mój dobrodzieju. zrobiłeś mi łaskę wielką. uiech ci Bóg za to zapłaci.. Jutro rano drapię...

— O której? żebym pieniądze odniósł, bo ich przy sobie nie mam... rzekł profesor...

W istocie nie miał ich i w domu. ale tegoż dnia jeszcze chciał biedz pożyczać. —

— Nie wyjadę przed południem—odezwał się major...

— Zatem zgoda, o jedenastej zapłacę...

Wniesiono kosze. Profesor sam chciał być przy pakowaniu, bo teraz gdy już cała szafa do niego należała, a i połowy jej nie przejrzał. obawiał się, żeby mu co nie skradziono. Starannie więc liczył najlichsze nawet szpargały, które mogły też mieć pewną wartość jako drukowane w tych miejscach. gdzie nie wiele co wyszło.—

Nazajutrz, gdy już książki zsypane leżały w posrodku biblioteki — Kudelka pobiegł po pieniądze. Obawa stracenia nabytku zmusiła go pożyczyć je u doktorowej. Dla tego gdy później zażądała, aby na

obiadł przyszedł z Murmińskim, odmawiać jej nie śmiał i nie mógł.

Z niezmierną chciwością rzucił się Kudelka do przeglądania tego stosu i oddzielania plewy — na nie-szczęście, ciągle mu coś przerywało robotę, i gdy na ten obiad szli, jedna trzecia dopiero część książek po prałacie była rozsegregowana. Jedna biblja Radziwiłłowska, która się na dobrej pulce znalazła, opłaciła we dwójnasób nabycie... Kudelka był szczęśliwy...

W takim to usposobieniu błogiem znalazła go z rana doktorowa — lecz gdy po ucieczce z jej domu Teodora, Kudelka za nim pogonił — obawa o uratowanego zatrula mu jego szczęście. Zapomniał już o wszystkich na świecie inkunabulach... prosto popędził do domu. W progu stała służąca. —

- Wrócił też pan? spytał.
- Jaki pan?
- Z trzeciego piętra...?
- Nie widziałam go.
- Dawno tu stoisz...
- Może godzinę, może więcej...

Nie było więc w domu Murmińskiego...

Dla sprawdzenia tej wieści poszedł profesor na trzecie piętro i tam nie znalazł nikogo. Gonić za nim po mieście nie na wieleby się przydało. Kudelka osądził, że najlepiej zrobi, oczekując na niego przed domem. zaczął się więc przechadzać niecierpliwie... Ale zmrok padł, a Murmińskiego nie było... Niepokoju. profesora trudno odmalować. — Ścisnęło mu się serce przeczuciem jakimś, co gorzej miał sobie poniekąd do wyrzucenia. że mógł być nieszczęścia przyczyną, przez

nierozważne dozwoleństwo na to, żeby go na obiad wyciągnięto...

Późno w noc profesor chodził jeszcze, choć ledwie się na drżących nogach mógł utrzymać. — Gdy drzwi kamienicy zamykać miano, wcisnął się do domu chory, zbiedzony prawie w rozpacz. Rzucił się tak na łóżko i usnąć nie mógł nasłuchując ciągle, czy kto nie zadzwoni. Lecz noc ta bezsenna, długa, spłynęła aż nadto spokojnie.

O białym dniu Kudelka mimo kropiącego deszczu wybrał się na daremne poszukiwania Teodora, którego śladu nigdzie wynaleść nie mógł. Około dziesiątej z tym swoim żalem i trwogą poszedł do doktorowej. Z twarzy jego poznała zaraz gospodyni, że jej coś złego przynosił.

— Znikł! rzekł nie witając się nawet profesor — niema go—może sobie życie odebrał...

Załamana ręce kobieta.

W jednej chwili zarządzono w miasteczku i okolicy poszukiwania. — Kudelka poszedł do radcy, któremu zwierzył się ze swego niepokoju, ruszono policję, ze swej strony doktorowa najęła kilku żydków nawykłych do podobnego szpiegowania dłużników.—Wszystko to jednak żadnego nie przyniosło skutku. Murmiński. wprost wyszedłszy od doktorowej, nie zachodząc do domu. jak stał — wyruszył gdzieś w świat... lub...

Gubiono się w domysłach, stary Kudelka był tak wzruszony i dotknięty, że nawet owego stosu ksiąg leżącego na podłodze nie tknął...

Wiadomość o tym wypadku rozeszła się wkrótce po mieście i dostała się do uszów pana prezesa, który

ją przyjął z pozornym chłodem. ale rzeczywistą radością. Nie powiedział ani słowa, gdy mu o tem doniesiono, wysłuchał. popatrzył, rozjaśniła mu się twarz — lecz zmilczał.

Od wielu tygodni po raz pierwszy widziano go tak swobodnym i wesołym. Tegoż dnia wyszedł po obiedzie na samotną przechadzkę. co mu się nader rzadko zdarzało... i — co mu się jeszcze nigdy nie zdarzyło w życiu, obrócił drogę w stronę gdzie stał szpital Sióstr Miłosierdzia. Zdawało się, że tam go coś ciągnęło, zapewne troskliwość o stan tego zakładu dobroczynnego, który był pod jego zwierzchnią opieką.

Instynktowe to opiekowanie się instytucją, właśnie przypało w porę, gdyż ze złego zapewne wyrozumienia instrukcji danej przez prezesa ekonomowi zanosiło się tu na rzeczy wielkiej wagi i znaczenia.

Mówiliśmy już że posłuszny natchnienin z góry, zacny ekonom postarał się o przeniesienie numeru 136 do osobnego pokoju. Chory mało co doznał polepszenia, było ono wszakże widoczne, choć przychodziło powoli. Gorączka ustawała, kaszel się znacznie zmniejszył, sen miał daleko spokojniejszy i chwilami otwierał oczy, leżał. zdawał się odzyskiwać przytomność, chociaż stostrze Hilarji odwiedzającej go, na pytania jej nie odpowiadał.

Stan ten nie bardzo był na rękę gorliwemu ekonomowi, który wiedząc jak ważnego przestępcę miał w ręku. pragnął — dopóki choroba jego mogła to ułatwić — przyjąć w posiadanie papierów, które chory na piersiach miał zawieszzone. Parę razy wśród nocy próbował nawet czy mu się nie uda obciąć sznurka, na którym torebka była zawieszoną i wysunąć ją nie-

postrzeżenie. Zawsze jednak chorego znajdował przebudzonym i z rękami na piersiach skrzyżowanymi, jak gdyby skarbu swojego chciał bronić. — Rodziło to tem większe podejrzenie iż papiery wielkiej wagi być musiały. Z każdym dniem jednak nabycie ich stawało się trudniejszym. Ekonom chcący pozyskać dobrą notę i wysłużyć się prezesowi, głowę łamał nad zdobyciem tego worka z papierami. — Poprzedzającego wieczora wpadł na pomysł bardzo trafny, który dowodził, że na więcej coś niż ekonom był stworzony. — Zważywszy iż chory spał coraz lżej a sen miewał czujny i przerywany, postanowił w klejku który mu wieczorem noszono, dać zażyć małą dawkę morfiny, mogącą przyjemny i spokojny sen sprowadzić. Ekonom, który dostarczał materiałów do apteki szpitalnej a trochę się znał na rzeczy i zawsze sobie mały zapasik aptecznych ingrediencji zostawiał;—łatwo mógł to wykonać. Jakoż do gotowego klejku wsypał dobrą dawkę nie czyniąc żadnej zgryzoty sumienia — bo się ona tylko do złagodzenia cierpień nieszczęśliwego przyczynić mogła.

Pocciwy ów ekonom był jednym z najpobożniejszych członków kilku bractw i budował swą religijną gorliwością nawet zacne siostry miłosierdzia. Surowy był nad miarę dla drugich i strzegł, ażeby do szpitala nigdy nikt oprócz katolika przyjętym nie był. — Gdy się modlił w kaplicy na książce, wzdychał i bił się w piersi tak, iż wszystkich oczy zwracał na siebie. — lecz musiał też dbać o to (mając tak liczną familję), aby z władzami i potęgami ziemskimi być w dobrych stosunkach. Dawszy klejek ten—(extra)—choremu co niezmiernie zbudowało siostrę Hilarję, ekonom oczekiwał tylko rychło morfiny skutek zrobi. W szpitalu

już było cicho i nocne tylko światła błyszczały na korytarzach i w celach... gdy ekonom we dnie wprzód olejem napuściwszy zamek izdebki, aby skrzywienie drzwi choremu nie było przykrem—otworzył je i wsunął się do izdebki. Stary spał—snem głębokim i ciężkim—ręce trzymał jak zwykle na piersiach skrzyżowane. Ekonom zbliżył się po cichu... Przy słabem świetle z korytarza przez szklaną szybę we drzwiach wpadającym, dostrzegł łatwo położenia głowy, rąk i szyi. Rąbek koszuli osłaniał właśnie to miejsce gdzie sznurek od torebki spoczywać musiał. Ręką delikatną, zręcznie odchylił go pocziwy dozorca i dojrzał w istocie gruby, mocny sznur. — Nożyczki maleńkie, podłożone pod spód, z niemałą trudnością wprawdzie rozcięły sznur na dwoje.

Szło tylko o to, aby za koniec ujawszy ową torebkę wysunąć tak, aby chorego nie obudzić.—Manipulacja ta dokonywana ze zręcznością chirurga lub kieszonkowego sztukmistrza, w części się powiodła... Ręce spoczywały na miejscu, a worek płaski podchodził do góry...

Widząc się już tak blizkim osiągnięcia pragnień swych celu, ekonom szarpnął trochę za żywo, dobijając całkiem na wierzch torebki, i chory w tejże chwili przełęczniony się obudził... Ekonom ledwie miał czas schować zdobycz do kieszeni, gdy stary, bezsilny ów człek pochwycił się za piersi, a wnet i jego za rękę porwał. Mimo osłabienia palce te jak w żelazne kleszcze ujęły przełętego nadzorcę... Potrzebował nadzwyczajnego wyprężenia, by się z tego uścisku wychwycić i co najprędzej uszedł cichuteńko do

swego mieszkania, gdzie się po ciemku w łóżko położył!

W tejże chwili ruch jakiś dał się słyszeć w szpitalu, ruch niezwykajny — chodzenie, szeptanie i stłumiony krzyk jakiś. Ekonom zostawiwszy torebkę pod poduszką sam wybiegł się dowiedzieć co się stało.

Okolo izby nieznanomego kręciła się siostra Hilarja, stróż i doktor... Zdawało się że chory dostał jakiegoś paroksyzmu we śnie, bo wył, krzyczał, rzucał się i bełkotał niewyraźnie... Niczem go uspokoić nie było podobna. — Chwytał się za piersi, darł na sobie koszulę, szukał jakby czegoś zgubionego do koła siebie.—Siostra Hilarja poila go czemś ochładzającym, ale napój odpychał — doktor przyczyny odgadnąć nie mógł tego nagłego paroksyzmu. — We śnie znać coś mu się zamarzyć musiało. bo z trwogą powtarzał głosem przerażenia — złodzieje — zbójcy... oddajcie.

Nikt nawet przypuścić nie mógł. ażeby się rzeczywiście ktoś do chorego zakradł, nie miało by to powodu — a przy nadzorze szpitalnym było niepodobieństwem.

Doktor więc szukał przyczyny paroksyzmu w chorobie samej, a że ten objaw z całym jej przebiegiem się nie zgadzał — zachodził w głowę...

W kilka godzin potem nastąpiły konwulsje gwałtowne... a nad rankiem... stary — umarł.—Siostra Hilarja i doktor nieodstępowali ani na krok od łóżka, robiono co tylko uczynić się dało; wszelki ratunek okazał się nadaremny!

Doktor z pokorą przyznawał się. że całej tej słabości nie mógł zdeterminować i nazwać jej nie umiał. — Gdy ciało już ostygło, siostra przypomniała sobie

torebkę na szyi i chciała zdjąć dla zachowania, gdyby się krewni i rodzina starego znalazła,—zdziwioną była niezmiernie — widząc, że już na piersiach jej nie miał. Szukano potem w pościeli, w odzieży, a nareszcie poprzestano... aby smutnego faktu kradzieży w szpitalu nie rozgłaszać. Siostra tylko szepnęła ekonomowi o tem, wyrażając swe podejrzenie na jednego ze stróżów poszlakowanego już o kilka drobnych takich przywłaszczeń, a ekonom przyrzekł, że go natychmiast oddali. — Jakoż tego dnia domniemany winowajca dostał ze szpitala odprawę.

Ekonom który był woreczek pod poduszką zostawił, biegnąc dla dozoru szpitala gdy się zrobiła wrzawa... sypiał w izbie. w której żona jego i dzieci też dwoje nocowało... Ta żona była to najnieznośniejsza w świecie istota. i wiele godzin spokojnych zatruwała panu ekonomowi swojemi dziwactwami. Kobieta była nerwowa, grymasna i gderliwa... Najmniejsza rzecz. na przykład bułki które ekonom przynosił gdy pozostawały od chorych, gniewały ją jako cudza własność. — Mówiła mu że wolałaby z głodu mrzeć niż karmić się chlebem z ust chorych i głodnych wydartym.

Tak samo postępowała z lada butelczyną wina i innemi spiżarnemi zapasami, gdy posądzała że były zaczerpnięte z tego, co do szpitala przeznaczano...

Nie miał od niej nieborak spokoju, bo go z każdego grosza egzaminowała zgryźliwie, ciągle mu w uszy klekcząc, że Pan Bóg im błogosławić nie będzie, bo to są łyzy sieroce. Gdyby jej był słuchał ekonom, troskliwy o przyszłość swych dzieci, nigdyby pewnie

do tego pięknego kapitaliku nie przyszedł, jaki sobie z okrucichów zbywających uciniał...

Szpiegowała go ta kobieta, wiecznie we łzach, zawsze w wyrzutach—tak że spokoju od niej nie miał. Znać i tego wieczora o coś go podejrzawać musiała gdyż udawała wyraźnie śpiącą w chwili cichego wyjścia pana ekonoma. usiadła potem na łóżku i płakała... Po powrocie jego przyłożyła głowę do poduszki, dostrzegła że coś pod materac schował, a gdy powtórnie wyszedł zerwała się z łóżka... Co to może kobieca nieszczęsna ciekawość! Pochwyciła torebkę... szybko wyjęła z niej papiery jakie się tam znajdowały i próżną wsunęła nazad—a zdobył swą zawinawszy w chustkę, położyła się modląc i szlochając...

Nazajutrz skoro świt ekonom wstał i dobywszy torebkę poszedł ją z całą swobodą rozpatrzyć do osobnej izby. Zdziwił się niezmiernie najprzód, bo mu się zdawało, że była daleko pełniejszą, i wydęte boki skórzanego worka nosiły ślady długo noszonej paczki papierów — tymczasem wewnątrz oprócz niezmiernie zatłuszczonego kawałka gazety: *Giornale di Roma* i adresu jakiegoś hotelu w Geuu, nie było—nic... Dało to wiele do myślenia ekonomowi nad przewrotną chytrnością ludzi, którzy śmiać nosić na piersiach taką torebkę—próżną, aby uczciwych zwodzili niemi i na daremnie na deceptję narażali — schował jednak ów *corpus delicti*...

Jeszcze myślał o tym wypadku, gdy ciało wyniesiono do trupiarni. ale wreszcie się uspokoił, że to być musiał warjat—a obłąkanym i poetom wszystko wolno... Po obiedzie uspokoił się już zupełnie i dla użycia świeżego powietrza stanął sobie z cygarkiem

w progu szpitala—w którym był ważnym i znaczącym urzędnikiem, gdy zwracając głowę przypadkiem postrzegł — nadchodzącego zwolna prezesa. Schował naturalnie zaraz cygaro — przybrał postawę skromną i zdala już podniósł kapelusz, pozdrawiając z pokorą potentata...

Prezes się wstrzymał w pochodzie—i uśmiechnąć raczył oddając ukłon.

— JW. prezes, odezwał się zstępując z dwóch wschodków ku niemu ekonom, gdyż czuł, że mu nie przystało, mówiąc do dostojnej osoby stać na podwyższeniu.—JW. prezes może zechce raczyć się dowiedzieć o tym... chorym...

— A cóż? a co?

— Chwała Bogu—umarł tej nocy—leży już w trumnie.

Prezes zimno to przyjął — a ktoby go nie znał, mógłby był posądzić nawet, że mu się twarz wypogodziła...

— „A! rzekł—umarł—proszę!

Ekonom zbliżył się do ucha pańskiego...

— Ja kazałem obszukać koło niego, szepnął czy nie miał czego przy sobie... Otóż, nie omyliłem się...

Prezes zaczynał słuchać z zajęciem nadzwyczajnem...

— Miał bestia na piersiach taki woreczek skórzany, w którym papiery trzymał.

Prezes chwycił za rękę ekonom — i rzekł szybko... Na miłość Boga idzie o to, aby nie kompromitować instytucji, gdzie są te papiery?

— Że były papiery, proszę JW. pana, to nie ulega wątpliwości—odezwał się ekonom, ale... licho go wie,

co on w chorobie z niemi zrobił... Dosyć. że woreczek od papierów jest... a ich nie ma...

Skrzywił się mocno prezes... Ale należało szukać... może się gdzie zatrzęsły. wypadły... może je kto pochwycił.

— A! uchwaj Boże! już za to ja ręczyć mogę — przeszukałem łóżka, pościel. izbę, wszystkie kąty... nie było nic...

— A worek? nie możesz mi go pokazać...

— Gdyby się JW. prezes pofatygować raczył...

Po chwili namysłu wszedł dostoyny pan w korytarz. Niedaleko od wnijsia był skład rzeczy, do których i torebka została dołożoną... Tu więc mógł ją pan prezes obejrzeć i przekonał się, iż w istocie niedawno jeszcze musiała być napchaną, bo się dotąd oddymała... ale prócz Giornale di Roma, który rozpatrzył protektor... nie było nic... Surową stała się twarz jego i wejrzenie, jakie rzucił na ekonoma, dziwnie się stało groźnem... Zimno i sucho odezwał się, oddając mu torebkę.

— Osobliwsza rzecz, żeby to mogło tu, pod oczyma waszemi... zginąć... bo że zginęło... to pewna...

Ekonom uczuł, że został posądzonym... jął więc zaklinać się, protestować, wzywać na świadectwo swój nieskazitelny charakter, a pomimo to prezes wyszedł jakoś milczący i widocznie mniej uprzejmy, niż wchodził...

— Taki los nasz, kiedy im służymy — westchnął w duchu—taka zapłata—jeszcze potem za gorliwość przypłacić trzeba reputacją!

Ręką machnął i drzwiami okrutnie zatrzęsnał. aż się po pustych korytarzach szeroko rozległo.

W tych dniach jakoś przypadło, że dla JMksiędza pralata Salvianiego dawano obiad składkowy, chcąc uczcić powrót do kraju. po długich latach pobytu jego we Włoszech. a szczególnie w Rzymie. Ks. Salviani z nazwiska tylko cudzoziemiec, syn słynnego swoich czasów cukiernika. który się tu był osiedlił jeszcze za Poniatowskiego. posłuszny powołaniu, które uczuł za młodu, wstąpił w kraju do seminarjum.— Studja swe całe odbył w tem mieście, część znaczną życia tu spędził. miał licznych przyjaciół i znajomych. Później już, mając krewnych we Włoszech, udał się do Romanii i tam. jakoś w ojczyźnie ojców swych upodobawszy sobie kilkadziesiąt lat strawił.

Śmierć kupca Salvianiego, bezdzietnego, po którym nań spadał dosyć znaczny majątek, spowodowała go do kraju. — Można sobie wyobrazić. z jaką czułością witano go tutaj i jak jemu miło było znaleźć się znowu w tych miejscach, gdzie spokojną i szczęśliwą młodość spędził.

Staruszek był miły, łagodny, serdeczny—którego nie kochać nikt nie mógł, kto się doń tylko zbliżył. —Wielkiej prostoty mimo nauki wielkiej. ks. Salviani dożył tego świętego spokoju dusz czystych — który jest jedynem szczęściem na ziemi i z sobą dla drugich szczęście przynosi.

Na pół po włosku. pół po polsku zrazu mówiąc, w kilkanaście dni tak sobie przypominał mowę lat młodych. iż mu ona doskonale wystarczała...

Domy pobożne i nawet takie, co nie sływały z nadzwyczajnej gorliwości, wrywały sobie ks. Salvianiego, który opowiadaniem o Włoszech wesołem,

wspomnieniami dawnych czasów, serdeczną swą prostotą dziecięcą, każde towarzystwo ożywiał.

Gdzie się kolwiek biała jego piękna głowa pokazała. kupiono się gromadą. by słodki głos jego posłyszeć. W końcu, ponieważ prałat chciał wracać do Rzymu, gdzie dosyć wysokie przy dworze Ojca św. zajmował stanowisko — wszyscy dobrzy przyjaciele i znajomi, w chęci zatrzymania go trochę dłużej i uczczenia zacnego starca. postanowili dać dla niego obiad składkowy.

Prezes był jakos tak zajęty temi czasy. mając mnóstwo instytucji dobroczynnych i innych niebacznie przez zbytnią gorliwość przyjętych obowiązków — iż ks. Salvianiego prawie nie widział i nie był nawet prezentowanym, ale do obiadu wezwano go z konieczności, bo był jednym z tych, co uczty zdobią i bez których obecności ona się odbyć nie może. Zrazu się wymawiał pan prezes,— trndno było zrozumieć dla czego, ecz gdy zaczęto nalegać przystał i obiecał na obiedzie się znajdować.

Musimy to sobie przyznać. iż między innymi narody odznaczamy się znakomitym darem urządzania takich biesiad uroczystych. Znamy między sobą takie rodzime talenta — młodzież, co mało co za dom wyjrzała, a potrafi ucztę Lukullową na sto osób zadysponować i urządzić, że by się jej Chevet nie powstydził. Powierzono też starania o obiad człowiekowi znanemu z tego, że wina złego nie dał nigdy i barbaryzmu w rozkładaniu półmisków się nie dopuścił.

Najpiękniejsza sala w hotelu pod... wybraną była dla przyjęcia miłego gościa, przystrojona a d h o c, wykadzona... i stół zastawiony na osób pięćdziesiąt kilka

tak, że oczy bawił swym przepychem i elegancją. Najlepsza w mieście muzyka na chórze umieszczoną została, i gdy wszyscy już byli przytomni, a ks. Salviani w progu się ukazał — urznęła takiego poloneza, że każdy go poczuł w sobie, jakby kieliszek wódki wypił. — Na osobnym stoliku przygotowano przekąski... Prałat jadał mało — pożał się Boże, było dla niego tak występować, ale szlachta polska zawstydzić się nie da w takich rzeczach. Musi być parada...

Zaczęto siadać do stołu... Prezes ze zwykłą sobie skromnością; miejsce chciał zająć z daleka, lecz na to gospodarze na żaden sposób dozwolić nie mogli, posadzono go na pół gwałtem, zarumienionego tą oznaką poszanowania, przy samym ks. prałacie. Dalej zasiedli na przemiany honoratior, duchowieństwo i świeccy, kanonicy w dystryktoriach i uroczystych ubiorach z ametystowymi pierścieniami na palcach — świeccy w czarnych frakach i orderach.

Towarzystwo całe było nadzwyczaj wesołe i ożywione. Solenizant w najlepszym humorze. Po drugiej jego stronie posadzony radzca tajny, którego także zaproszono... rozpoczął z nim rozmowę. Znać ks. Salviani tyle ciągle nowe widując twarze, zapomniał raz czy dwa tylko spotkanego prezesa, gdyż spytał na ucho radzcę o jego nazwisko... a ten mu je dobitnie parę razy powtórzył.

Nie uszło to baczności tego, kogo się tyczyło. chociaż w tej chwili nadzwyczaj żywą rozprawą z sąsiadem swym był zajęty... Ks. Salviani popatrzał długo na prezesa i zdawał się namyslać.

W przestankach gdy muzyka nie grała, ponieważ wszyscy radzi byli słyszeć miłego staruszka, który nie-

winnemi, żartami zabawiać umiał towarzystwo, — uciśzali się goście i w sali niezwyčajne w podobnych razach panowało milczenie.

Tem dobitniej więc nie tylko bliżsi ale i dalsi biesiadnicy usłyszeli następującą rozmowę.

— Pan prezes dozwoli mi się spytać, czy też matka jego nie podróżowała po Włoszech?

Prezes mocno poczerwieniał i potakująco skinąwszy głową, rzekł.

— Tak jest.

— A! to miałem przecie przyjemność nie tylko ją znać... gdy jeszcze była wdową, ale...

Tu prezes okropnie się zakaszał...

Prałat zatrzymał się i czekał...

Znałem ją też później po jej ślubie i widywałem synka jej, a przyrodniego brata pana prezesa... śliczne dziecko...

Wszystkich oczy skierowały się na dostojnego pana, który pobladł, oczy mu błysnęły złowrogo; zdawało się, gdy ujrzał łagodnie w siebie wlepione wejście prałata — odparł stłumionym głosem z ironicznym śmiechem.

— Mogę czcigodnemu prałatowi zaręczyć, że ś. p. matka moja wcale drugi raz za męża nie wychodziła, ale swojemu miłosiernemu sercu winną była, że ją o to posądzono... i dziecię guwernera brano za jej własne... Ale to, albo niegodna potwarz — lub bolesna była omyłka...

Chociaż prezes starał się to wymówić i jak najchłodniej, głos mu drżał. widać na nim było pomieszanie i oburzenie... Prałat zarumienił się, zakłopotał.

nie wiedział już, jak swą omyłkę naprawić i rozmowę zwrócił natychmiast...

Prezes jednak pozostał chmurny, roztargniony z brwiami namarszczonemi, mało co jadł, nie mówił nic, a jak tylko wstawać zaczęto od stołu... zawinął się, chwycił za kapelusz i zniknął z sali. Uważali to wszyscy. Szczególniej bolesnem było dla prałata, iż sobie tak niezręcznie postąpił dotykając struny drażliwej... Popsuło to nawet niemal cały obiad, bo z końca w koniec stołu, powtarzano sobie komentując słowa ks. Salvianiego i daną na nie odpowiedź. Prałat był upokorzony i zmieszany, napróżno starano się go zabawić i rozerwać. Nawet po małym kieliszeczku wina węgierskiego — pozostał smutny i wzdychał.

Profesor Kudelka, który był jednym z najstarszych przyjaciół prałata, a z tego tytułu miejsce też u stołu nie daleko otrzymał — słyszał wszystko i czekał znać tylko, aby się mógł swobodniej po obiedzie do solenizanta przybliżyć.

Uśmiechnął się i siadł przy nim...

— Słyszałeś, doctissime, rzekł do Kudelki, jakiego ja tu baka palnąłem...

— A słyszałem... i czy to był — bąk?

— Nie — to była szczerza prawda — westchnął Salviani, tylko nie w porę puszczona. Znać dostojna rodzina wstydzi się tych powtórnych ślubów ś. p. prezesowej. Ale cóż się z jej drugim synem stało?

— Czyż to był syn? zapytał Kudelka.

— Było to tak nieochybnie małżeństwo, i był to tak pewnie jej syn, że i czas i miejsce ślubu i księdza co go dawał mógłbym oznaczyć.

Kudelka za rękę go chwycił.

— A! zmiłuj się prałacie — zawołał, dotknąłeś istotnie daleko żywszej sprawy, niż ci się zdawało. — Może też cię tu sprowadziła opatrność. — Nie winię ja pana prezesa, lecz — może nie wiedział. może nie wierzył — a bądź co bądź. brata pokrzywdził i ten człowiek raz sobie o mało życia nie odebrał — teraz... znowu kędyś znikł!

— Jest w tem jakaś tajemnica, którą rozjaśnić koniecznie potrzeba — obowiązek święty... Tu nikt o tem małżeństwie nie wie... syn był w największej nędzy.

Salviani ręce załamał.

— *Tutto e verro — verissimo* — zawołał, — ja o tem wiem najlepiej, charakter mój kapłański świadczy za mnie...

Zdała zdawał się nie słuchając niby przysłuchiwać rozmowie radzca tajny i zwróciwszy się do prałata, szepnął mu cicho, iż z obowiązku nieubłaganego urzędu swego, będzie go musiał prosić o pewne objaśnienia w tym przedmiocie.

— Nader mi przykro — rzekł ks. Salviani — że muszę tak poważnemu i — jak tu powszechnie słyszę — czcigodnemu człowiekowi przykrość może uczynić — lecz... sumienie... sumienie...

Zaczęto szeptać po cichu, towarzystwo powoli się wysuwało, radzca chciał zaraz do siebie prosić prałata, ten się wymówił znużeniem i odjechał do klasztoru, w którym stał..

Uważał wchodząc, iż braciszek w furcie jakby nań czekał, pobiegł przodem dać znać o jego przybyciu. Zaledwie miał czas zrzucić z siebie fiolety, gdy

na progu ukazał się ks. przeor, a za nim — tylko co u obiadu widziany prezes.

Ks. przeor przypominał czasy monachomachji Krasickiego otyłością i rumieńcem... Prezes przy nim wydawał się jak marmur blady i jak pargamin suchy...

— *Excellentissime!* odezwał się przeor ręką wskazując prezesa — mam honor przedstawić w osobie czcigodnego... największego dobroczyńcę naszego konwentu, któremu w wielu złych okurencjach winniśmy prawie utrzymanie przy bycie i życiu, chwale Wszechmocnego poświęconemu. — Niechże pan prezes siada...

Prezes milczał dziwnie usta zagryźszy.

Prałat podszedł skłopotany ku niemu i wskazał mu miejsce po prawicy swej na kanapie. — Ks. przeor skłonił się i wyszedł. Jakiś czas panowało milczenie,

Prezes zdawał się oczekiwać i namyslać od czego zacząć.

Ścisnął najprzód czule rękę prałata.

— Nie umiem tego wyrazić, rzekł cicho — jakie to dla nas szczęście widzieć tak dostojnego duchownego między nami. Prawdziwy wzór chrześcijańskiej dobroci i rozumu... Mnie tylko nieszczęśliwego z tych ust, któreby z Chryzostomowemi porównać można, spotkało słówko bolesne..

— A! mój mości dobrodzieju! odezwał się prałat — cóż takiego?

Ks. Salwiani z sumieniem nie zwykł był w żadne wchodzić kompromisy.

— Przy stole — księżę prałacie — to wspomnienie o mej matce... szepnął wzdychając boleśnie prezes.

Prałat z wolna ujął jego rękę i z łagodną obracając się doń twarzą — odezwał.

— Mój mości dobrodzieju — nieskończenie boleję, bo w istocie ani czas był, ani miejsce potemu, aby się w tak delikatnej sprawie odezwać. — Jednakże com rzekł, powiedziałem z zastanowieniem i — to jest prawdą!

— Darujesz mi ks. prałacie — gorąco odparł prezes — dałeś się uwieść potwarzy...

— Mój dobry panie. przerwał wolno i spokojnie prałat — mylicie się, wiercie mi, możecie o tem nie wiedzieć. bo nie przypuszczam, żebyście wiedzieć nie chcieli. Czcigodna ś. p. matka wasza, wyszła w czasie bytności swojej we Włoszech za pana Murmińskiego, znam księdza, który ślub dawał, wiem gdzie i kiedy syn był chrzczony... Rzec najmuiejszej nie ulega wątpliwości, bom o niej z własnych ust nieboszczki słyszał i to — kapłańską potwierdzić mogę przysięgą.

Słów tych zaledwie dosłuchawszy prezes się zerwał z kanapy. zburzony i prawie nieprzytomny od gniewu... trząsł się cały.

— Gdyby nawet tak było — zawołał, — gdyby tak było, cóż masz waćpan dobrodziej za obowiązek to głosić? Znakomite familie jak nasza, gdy je spotka podobne nieszczęście starają się je utaić, bodajby największemi okupić miały ofiarami. A wieszże ks prałat, jakich niecných środków użyto, aby kobietę zbyt dobrą i słabą, zniewolić do tego ohydnegu związku... przez chciwość, przez rachubę... dla pieniędzy...

Prałat wysłuchał cierpliwie.

— Mój drogi panie, ani chciwością, ani rachubą nie mogło to być, boć starego Murmińskiego nim z Rzymu

wyjechał dobrze znałem — z głodu prawie niebora-
czysko umierał, a do was się nie odezwał.

Prezes to czerwieniał, to bledniał, ręką tarł po
czołe... jąkał się i przemówić nie mógł.

— Ks. prałacie do jego serca się odzywam — do
uczuć szlachetnych... raczcie o tem zamilczeć, chciej-
cie podać wątpliwość; rzucacie na mnie cień, — pla-
mę. . .

Ks. Salwiani spuścił głowę.

— Jakże ja mogę zamilczeć, gdy mnie pytają —
odrzekł — a tożby było serce i szlachetność, bym
kłamał?

Prezes zerwał się z miejsca i począł chodzić ży-
wo pokoju. nie mówiąc słowa...

— Przecież zamilczeć nie będzie grzechem! — za-
wołał.

— Byłoby grzechem — odparł ks. prałat spokoj-
nie. — Dowiedziałem się tu dopiero, że to dziecko jest
w nędzy!

Dostojny pan ramionami ruszył.

— To dziecko, to ostatni był łajdak i wisus, godzien
swojego tatka... a prawdopodobnie już go na świecie
niema.

— Ale pamięć jego!

— Ks. prałacie, przerwał gość — to chyba jakas
ku rodzinie naszej zawziętość, ja tego nie rozumiem...
Mamy zasługi w kraju i dla kościoła położone, godzi
się nas oszczędzać. Mogę zaręczyć, że takie wystą-
pienie bardzo źle widzianem będzie.

Prałat słysząc tę groźbę, roześmiał się równie ła-
godnie i spokojnie. jak mówił od początku.

— Ale ja, niepytany nie występuję—rzekł—a ilekroć wezwany będę, abym dał świadectwo prawdzie—nie oglądam się, czy to źle widzianem będzie przez ludzi, byle Bóg widział to dobrem.

Jeszcze chwilę zatrzymał się prezes, którego twarz zmieniona świadczyła o okropnej walce, jaką w sobie toczył—potarł czoło silnie, rozśmiał się sucho i szydersko. uklonił i zawrócił ku drzwiom.

Ks. Salwiani wstał go odprowadzić, w progu zmierzyli się oczyma, ale prałat się nie zmięszał i na kanapę powrócił. Był to dzień fatalny dla prezesa. pojechał bowiem do—kilku najwyższej położonych osób, na których wpływ w tej sprawie rachował. jednych nie zastał, drudzy grzecznie się jakoś wymówili, nie chcąc się mieszać do niczego.

Po mieście rozeszły się wieści i plotki szerzone tem żywiej, iż każdy ma nieprzyjaciół. a nie ludzie chciwiej nie chwytają nad dowody upadku bliźnich. jakby to ich ułomności usprawiedliwić mogło.

Razem z owemi słowami prałata. puszczono z drugiej strony nader zręczną płoteczkę o nagłym i bolesnym dla wszystkich umysłowym upadku ks. Salwaniego. który już kilka niedorzeczności powiedzieć miał i widocznie bywał chwilami nieprzytomny.

Z nadzwyczajną ciekawością zaczęli wszyscy śledzić dalszego tego drobnego na pozór wypadku następstwa; przypatrywano się nazajutrz postawie, minie. wyrazowi twarzy prezesa, który zdawał się zupełnie obojętnym.

Z drugiej strony zagadywanego ks. Salwaniego usiłując się dobrać do mniemanego upadku na umyśle, prałat pamięć miał bezprzykładną, a żywość, którejby

mu młodszy mogli zazdrościć. — Gdy ktoś Kudelce doniósł, że po mieście się z tem noszą, jakoby stary księżyna zapomniał się i bredził, uniósł się profesor takim gniewem, że się aż z niego naśmiano...

Tymczasem nazajutrz wezwany został prałat do najwyższej swej władzy — i uważano, że z pałacu wyjechał zarumieniony i — jak nigdy — poruszony...

Po trzech czy czterech dniach wieść zaczęła się zapominać i na pozór pozostała bez skutków...

Doktorowa znana była w mieście z dobroczynności, — pomagała biednym chętnie nie tylko pieniędzmi ale dobrą radą. Wiele mając czasu wolnego spełniała to właśnie posłannictwo najrzadsze i najmniej powabne, iż ubogim ludziom, wysłuchawszy ich skarg i zażaleń, przychodziła w pomoc doświadczeniem, rozumem i stosunkami. Rzadko kto odmawia grosza ubogiemu, ale mało jest osób, któreby czasu swego i serdecznego współczucia nie żałowały.

Doktorowa miała tę rzadką cierpliwość anielską, pozwalającą jej godzinami całemi trwać na najnudniejszych w świecie rozmowach z ludźmi prostymi, których żal, strapienie — gorycze życia uczyniły wielomównymi i monomanami serdecznych swych cier-

pień.—Przedpokój jej w pewnych godzinach pełen był wszelakiej gawiedzi przychodzącej w najróżnorodniejszych sprawach. Jedni potrzebowali protekcji wstawienia się, pośrednictwa, drudzy rady, inni nawet aż przeczytania listu niewyraźnego lub odpisu pod dyktowaniem... Ubogie kobiety przychodziły prosić laku lub pieczęci i t. d.

Właśnie w zaspokojeniu tych drobnych, natrętnych żądań, doktorowa była rzeczywiście dobroczynną. Odrywała się od najmilszego zajęcia, ażeby pójść często radzić z kobieciną jaką, o wykrojeniu sukni dla dziecka z wynoszonego łachmana. Temi małemi przysługami zyskała sobie miłość u ludu... i jedni drugich ślali do niej jako do powszechnej we wszystkich serdecznych poradach lekarki. Śmiało się wyższe towarzystwo z pani doktorowej zowiąc ją św. Elżbietą a u *petit pied*, ale ona ruszała ramionami i spełniała co Pan Bóg przykazał.

W tych właśnie dniach, w godzinie, gdy zwykle przedpokój był pełny, doktorowa zobaczyła kobiecinę bladą, dosyć porządnie ubraną, która kryła się z razu w kątku, czekając by wszyscy wyszli — a gdy już nikogo nie było, prawie przestraszona, cichym głosem zaczęła prosić, aby ją pani wysłuchać mogła we cztery oczy, bo jej coś ma powiedzieć ważnego.

Blada i mizerna twarz kobiety nie dała jej z razu poznać doktorowej, po głosie dopiero domyśliwszy się jej—zbliżyła żywo, wołając—a to ty moja Elżusiu!

— Al to ja—kochana pani.—

— Cóżżeś to tak zmizerniała...

Kobieta westchnęła.—

— Cóż, proszę pani, dzieci, gospodarstwo, a już tak zdrowia nie miałam!

Była to dawna doktorowej garderobiana, którą ona lubiła bardzo. Uparła się wyjść za mężczyznę, który się jej podobał bardzo—a po zamążpójściu—że doktorowa była mu przeciwną — już się nie widywały.

Spojrzawszy na zmizerowaną, biedną kobietę, smutną, do niepoznania zmienioną, dawna jej pani rzuciła się jej na szyję i poprowadziła z sobą do sypialni.—

Tu posadziła ją na krzeselku... kobieta była nad wyraz zboląła i biedna.—

— Widzisz, odezwała się doktorowa — wyglądałaś jak różyczka, byłaś wesoła i szczęśliwa... małżeństwo to ci nie posłużyło...

Elżusia ręką w milczeniu machnęła.—

— Cóż ci to jest? spytała pani.

— Nie mogę powiedzieć, bym nędzę cierpiała — dzieci mi też nie źle się chowają, a przecie —

— Mów mi szczerze! mąż bałamut.

— A! i to nie—odparła Elżusia—i zamilkła.

— Przecież, moja droga. jeśli chcesz, ażebym ci poradziła...

— A! tak, pani moja, nagle wybuchnęła płaczem Elżusia, zakrywając sobie oczy. — trzeba się pani ze wszystkiego wypowiadać. — Męża mam niedobrego. Dla mnie on i dla dzieci jako tako — ale człowiek nie wedle Bożego prawa i przykazu.

— Tak jest, proszę pani, — mówiła dalej — popsula go pokusa. Dostał dobre miejsce przy szpitalu. ale boję się. by duszy nie zgubił... Pieniądze bardzo płyną, ino Bóg wie z jakiego źródła. Ja kawałka chleba

przełknąć nie mogę — bo mi się zdaje, że chorym jest wydarty.

Załamala ręce biedna.

— Ale cóż tu począć. kiedy się i odezwać nie można. — Robię co mogę, by krzywdy ludzkiej nie dopuścić.

— A mówiłaś z nim o tem? — zapytała doktorowa.

— O pani, nie ma dnia. żebyśmy się o to nie pokłócili. Co z tego? — kryje się przedemną a źle czyni....

I płakała Elżusia. Doktorowa uściskała ją uspokajając.

— Czyń ty swój obowiązek — czyń co tylko w twojej mocy. nad siły Bóg nie wymaga.

— A! byle on dzieci i mnie nie karał za niego..

— Bóg jest sprawiedliwy! westchnęła doktorowa. uspokój się...

Elżusia łez wstrzymać nie mogła...

— On to może robi z wielkiego przywiązania do dzieci, odezwała się po chwili — ale zawsze co grzech, to grzech.

— Niech pani mnie z tajemnicy nie wyda — proszę a błagam, poczęła po chwili, rozwijając powoli pod chustką przyniesiony paczek obwinięty w bieliznę. W nas w szpitalu różni ludzie przybywają i umierają.

— Jest tam dozór, ale to trudno upilnować. Dopatrzyłam, że mój mąż po jednym chorym zabrał papiery — zlekłam się bardzo i musiałam je odkraść, żeby się to czasem na złe nie obróciło — i oto je do pani przyniosłam. niech pani rozpatrzy.

To mówiąc dobyła zbrukanych papierów wiązkę i położyła je przed gospodynią.

Doktorowa wstała zmieszana nieco, lecz nie mogła odmówić wezwaniu.

Wzięła więc papiery, zrazu obojętnie spoglądając na nie,—lecz po chwili aż krzyknęła z radości.

— A! to cię Pan Bóg natchnął, kobieto! — zawołała—żeś je tu do mnie przyniosła.

Elżusi aż oczy zabłyszczały.

— Ocalisz może cześć i życie ludziom pocziwym... lecz przy kimże papiery te znaleźć się mogły?...

— Tego ja nie wiem — zamyślając się odpowiedziała kobieta — zdaje mi się, że przy starym jakimś ubogim, którego z gościńca chorego do szpitala przywieźli...

— Żyje on?—żywo zawołała doktorowa.

— A! nie—umarł, kochana pani! umarł!

Im dalej przepatrywała papiery doktorowa, tem radość i zdumienie wzrastało.

— Papiery, rzekła, w lepsze ręce dostać się nie mogły — niech ci Bóg płaci. dopełniłaś jakimś przeczuciem dobrego uczynku... ale Elżuniu moja — o tem wszyskciem zamilczeć potrzeba.

Rozmówiwszy się jeszcze dłużej z dawną sługą, doktorowa zawinęła papiery przyniesione w arkusz czysty i natychmiast z domu wybiegła. Z początku wielka radość nie dozwoliła jej się opamiętać dokąd iść miała, dopiero kilkanaście kroków podszedłszy ulicą... opamiętała się i zwróciła ku mieszkaniu Toli, która dotąd do domu wyjechać nie mogła, bo czuła się słabą i nie przyjmując nikogo, zamknięta pozostała sama z Teresą.

Dla przyjaciółki jednak drzwi się otworzyły—Tolę zastała na szeszlągu nie ubraną i mizerną. Roz-

radowana twarz doktorowej z razu przykre zrobiła na niej wrażenie.

— Moja Tolo kochana. instynktowo do ciebie pospieszyłam z dziwną wiadomością. która ci obojętną być nie może...

Cud, wyraźny cud dał mi w ręce dowody urzędowe, że ś. p. prezesowa wyszła była za mąż za Murmińskiego starego, który—jak się zdaje, zmarł temi dniami w szpitalu—i że Teodor jest jej—synem!

Tola zerwała się z kanapki...

— Pani masz te papiery!

— Mam je, mam w ręku... zmieniłyby one położenie tego nieszczęśliwego, i mogłyby go ocalić.

Dwie przyjaciółki uściskały się z radości, ale wkrótce smutek okrył twarz Toli.

— Mogłoby go to ocalić—rzekła—gdyby żył...

— Żyje! bądź pewna! profesorowi dał słowo, że sobie życia nie odbierze—ale co tu teraz począć z papierami?

— Przyznam ci się, że ja tak mało jestem praktyczna, że wcale nie wiem co robić. — Czuję tylko że się szala losu przeważać zaczyna w stronę przeciwną. Trzeba się poradzić przyjaciół, prawników. ja nie wiem kogo — ale trzeba radzić — głosić i odezwać się do zbiegłego... Rób to! rób! moja najdroższa—zawołała Tola ściskając ją zarumienioną—Bóg ci dał posłannictwo drugim szczęście gotować, choć sama nie wieleś go skosztowała...

Po krótkiej naradzie posłano zaraz ztąd jeszcze po profesora Kudelkę z pilnem wezwaniem. Doktorowa papiery miała przy sobie.

Stary nastraszywszy się nieco takiego nagłego rozkazu, by natychmiast przychodził — cały drżący przybiegł do hotelu.

Jeszcze się nie witając, spojrział po twarzach, co mu one powiedzieć miały, i uspokoił się widząc je uśmiechnięte.

Doktorowa nie oznajmując mu o niczem, posadziła go na krzesło, kazała wziąć okulary, dobyte papiery i pierwszy z nich położyła przed nim.

Kudelka popatrzał i krzyknął ze zdumienia.

— Jakim sposobem? Zkąd? toć metryka ślubu Murmińskiego!

— Tak jest... odezwała się doktorowa a to. a to...

— To metryka urodzenia Teodora! Więc Teodora! Więc Teodor jest synem prezesowej...

— A oto reszta papierów tyczących starego Murmińskiego?

— Gdzież on?

— Zdaje się, że temi dniami zmarł tu w szpitalu...

Żywa się tedy rozpoczęła narada, co robić... Pannie te słyszały już historję o ks. Salvianim, której Kudelka będąc naocznym i nausznym świadkiem, powtórzył ją, jako dziwnie potwierdzającą się właśnie temi papierami...

— Papiery trzeba podać do akt — odezwał się Kudelka — ale nie trzeba bezużytecznego czynić skandalu — i najpierw należałoby się poradzić z prezesem samym... Niech go pani każe prosić do siebie — wzgląd na famiję nakazuje mu to wprzód ukazać...

Zgodziła się na to doktorowa i po dłuższych jeszcze naradach, profesor odszedł a panie zostały i To-li tak się polepszyło, że cały wieczór spędziła u przy-

jaciółki... Wspólnie ułożyły bilecik do prezesa zapraszający, w bardzo grzecznych i ogólnych wyrazach, dla narady w pilnym i ważnym interesie... Bilet wysłany został tegoż wieczora, a służący przyniósł od niego odpowiedź, że przybędzie...

Nazajutrz o godzinie dwunastej, pomodliwszy się w puchu na intencję przykrej sprawy, która na nią spadła... doktorowa z bijącym sercem czekała na przybycie prezesa. Sama potem powiadała, że nigdy jej tak pocziwe serce nawet na przybycie nieboszczyka męża nie biło.

O godzinie dwunastej, puukt, chód się dał słyszeć na wschodach, prezes pewien, że idzie radzić w interesach kuzynki żony, z miną poważną i spokojną wtoczył się mierzonym krokiem na pokoje... Gospodyni przyjęła go, nie jak zwykle — wesoło i żartobliwie, ale surowo jakoś i i smutno...

Prezes całe życie był sztywny, a w razach gdy się czuł potrzebnym, stawał się niezuośnie chłodnym i biurokratycznie wysznurowanym...

Poprosiwszy go siedzieć, doktorowa zaczęła sama...

— Przepraszam pana prezesa z góry — jestem zmuszoną narazić mu się i zrobić nieprzyjemność—lecz—obowiązek przedewszystkiem. Interes nie miły, delikatny i na moją słabą głowę za ciężki...

— Racz pani bez przemowy przystąpić do rzeczy, odezwał się urzędnik—czas mam krótki.

— Musisz mi go chwilkę poświęcić, we własnym interesie.

— Jak to we własnym? zdumiony zapytał prezes...

— Tak jest w istocie — mówiła gospodyni. Wypadek dał w ręce dowody urzędowe, metryki ślubu Murmińskiego z prezesową i urodzenia Teodora. Co mam z niemi zrobić?

Prezes porwał się z kanapy przerażony. ale w prędkę ochłonął, — twarz okryła mu się bladością śmiertelną...

— To nie może być! zawołał.

— Tak jest! zimno mówiła doktorowa. Nim papiery tu doszły do mnie, były w rękach innych, są uznane za ważne.

Co mam z niemi zrobić? powtarzam.

— Co zrobić? krzyknął prezes rozgniewany, — spalić te fałszowane dokumenta! To robota intrygantów, nieprzyjaciół, zawistnych mi ludzi. To cała sieć osnuta do koła mnie, aby człowieka prawego obalić. aby splamić rodzinę, wydrzeć majątek. — To infamia!

Papiery! dodał — czemuż się one dopiero teraz — i z kąd zjawiają? Jaką drogą doszły do pani?

— Zdaje mi się, że stary Murmiński umarł tu w szpitalu...

Prezes drgnął nieznacznie.

— Stary Murmiński! imaginacja! intryga! wszystko intryga! — wszystko intryga! — Fałszerstwa... Wiadomo, jak we Włoszech łatwo jest podrobić co się podobą. Sprowadzili aż z tamtąd na mnie i ks. Salvianiego, dobrodusznego starca, który pamięć stracił — i — jak widzę. papiery...

— Papiery! powtórzył z oburzeniem — rób z niemi pani co zechcesz! proszę! Każcie je położyć na rynku, ogłoście przy trąbach — mnie to wszystko jedno, ja ho-

noru domu i pamięci matki bronić będę do ostatka.

Doktorowa pobladła.

— A jeśli papiery są prawdziwe! spytała.

— Prawdziwe być nie mogą! to podle roboty wydrwigroszów!

— Wolisz więc, aby na pamięci matki ciężało podejrzenie stosunków nieślubnych niż ślub i pożycie z uczciwym człowiekiem.

— Z uczciwym? z łajdakiem! z intrygantem—zawołał prezes unosząc się. — Zkąd pani masz te papiery? pokaż mi pani te fałszerstwa...

— Gdy trochę ochłoniesz, panie prezesie, bardzo chętnie ci je pokażę, odpowiedziała doktorowa, w tej chwili obawiałabym się roznamiętnienia — nie jesteś przytomnym.

— Ja nie przytomnym!! stanął prezes i usiłował zebrać myśli i panować nad sobą.—Wolniejszym głosem począł na nowo.

— Najcierpliwszego człowieka przyprowadzić może podobne postępowanie do chwilowego zapamiętania... Pani! nasza krewna, należąca do familji — pani, którąśmy szanowali — dałaś się wciągnąć w te demagogiczne podziemne roboty! czyż nie widzisz, co ich za cel? Oto poniżyć szlachtę, oto uczciwą i szanowną rodzinę zbłaźnić. I pani miałyby do tego podać rękę?

Doktorowa zarumieniła się.

— Prezesie kochany, rzekła, nie należę ani do arystokracji ani do demagogów, choć z pierwszą krew mnie łączy, a z drugimi często uczucia dzielam... Jestem chrześciana, widzę lud Boży we wszystkich bez różnicy, — tak, bez różnicy pochodzenia, wiary i narodowości. Nie mam ani nienawiści przeciw demo-

kracji, ani niechęci przeciw wyższym, widzę porządek świata i prawo ogólne, które klasom wykształceńszym daje pewną przewagę, aby jej na dobre użyły — odpycham twe posądzenie... przeczę twemu domysłowi. w tem nie ma intrygi — ale jest sprawiedliwy palec Boży.

— I pani mówić to możesz?

— Najspokojniej w świecie, bom tak przekonana... Ciebie przecie uwodzi namiętność...

— Ja bronię co mam najdroższego!

— Nie sławy ale sumienia broń...

— Zostaw pani staranie o niej przy mnie, rzekł obrażony prezes. Nie od dziś znam te pokątne knowania przeciwko nam.. Ci ludzie do wszystkiego są zdolni...

— Ale jakieżby cel mieli!

— Obedrzeć nas i zniesławić!

— Powtarzam ci, to być nie może! Miarkuj się. ratuj i nie narażaj na gorsze jeszcze następstwa. Już ks. Salviani ci mówił...

— Głupi starzec! wybuchnął prezes. nabechtany...

— Zlituj się...

— Gdzież są te papiery? pokaż mi je pani! zawołał zlbizając się natarczywie.

— Nim ci je ukażę, rzekła spokojnie doktorowa, muszę cię przestrzedz, że przeszły przez ręk kilka, że je widziano u mnie. Jesteś tak rozdrażniony, iż się obawiam widokiem ich więcej jeszcze roznamiętnić.

Blady i drżący starał się znowu prezes udać uspokojonego...

— Cóż pani myślisz poczynać? na co się to komu zdało? dla satysfakcji chyba upokorzenia nas — pod-

chwycił.—Pani sama powiadasz, że Murmiński stary nie żyje—młody się pewnie gdzieś obwiesił, unikając tego, aby go nie powieszono... komuż pani oddać chcesz i jakiego rodzaju przysługę? Gawiedzi, która mnie będzie palcami pokazywała?

— Młody może żyć i spodziewam się, że żyje—odezwiała się doktorowa.

— A ja mu życzę, żeby nie żył!—krzyknął prezes—bo wstyd robi pamięci tej, która go wychowała! Jest to człowiek zepsuty, zawistny, zły... wszystkie instynkta plugawej kasty, do której należy... rewolucjonista obrzydły...

Na szubienicy gdzieś skończy...

I dla takiego to człowieka pani chcesz poświęcać nas... swoich — krewnych, nas, cośmy ci w szczęściu i nieszczęściu dawali dowody przyjaźni i współczucia...

Doktorowa się zachwiała.

— Całkiem inaczej spodziewałam się cię znaleźć usposobionym—odpowiedziała zwolna gospodyni i dla tego chciałam sam na sam mówić wprzód z tobą—posłuchaj mnie... Sądziłam, że czcisz pamięć matki, jak rozumiałam, że ją szanować powinienes — że to co było jej wolą, spełnisz w pokorze, że to co było jej drogiem ukochasz, że dla tego którego uważałeś za brata, choćby był obłąkanym, zachowasz serce braterskie, dasz mu pomoc, opiekę miłość...

Prezes zaczął się śmiać.

— Kobiecte romanse! sentymentalizmy! ze złodziejami! ale pomyśl że pani, rozbierz całą tę historję i obrachuj a osądź czy nie mam prawa się oburzać! — Matka nieboszczka przyjmuje dla mnie nauczyciela,

człowiek ten wchodzi do naszego domu... ogląda się, że bezbronną znalazł w nim kobietę, liczy że ją grając sentymenta wielkie za serce pochwyci... pochlebia, płaszczy się... wciska, zyskuje zaufanie by go na-dużył... Oto smutne dzieje naszego domu... Narzucają nam potem jakiś fikcyjny ślub, jakieś dziecko podrzutka...

— Ależ zlituj się — przypomnij jak go twa matka kochała?

— Co to dowodzi? zawołał prezes—przywiązała się do sieroty.

Znużony mówiąc rzucił się na kanapę i podparł na rękę...

— Nie — dodał — niech mnie szkalują, niech dowodzą, niech procesują — będę się bronił do ostatniego...

— Nikt przecie procesować cię nie myśli...

— Gdzież są te papiery? oglądając się w koło mówił dalej i jak one do rąk pani doszły? Sama pani mówisz że człowiek ten zmarł w szpitalu, któż śmiał je wziąć ztamtąd!

— A któż ci mówi, że on ich wprzód nikomu nie powierzył...

Prezes się tak zapomniał, tak niesłychanie był zburzony, iż bez zastanowienia wyszło mu z ust...

— Jak to mógł uczynić, kiedy zakazał. żeby żywa dusza przystępu doń nie miała...

Jeszcze nie dokończył, gdy zmiarkowawszy, iż te słowa były zeznaniem straszliwie go kompromitującym, zaczerwienił się cały i rozśmiał patrząc dziko na doktorową, która ręce załamała i zbladła.

Więc wiedziałeś o nim, że był w szpitalu!

— Ja nie wiem. co plotę—poprawił się prezes gniewnie—chciałem powiedzieć, żeśmy ogólny rozkaz wydali, aby chorym nie wolno było komunikować się z przychodzącymi.. Jest to prawo ogólne... Często chorym krewni przynoszą rzeczy szkodliwe...

Gospodyni spojrzała na niego bystro i zamilkła znacząco.

— Myśl sobie pani co chcesz — ruszając wzgardliwie ramionami — poczał prezes —to mi wszystko jedno...

— Gdzie są te papiery?

Doktorowa wahała się, czy ma mu je pokazać lub nie — zdawało się jej wreszcie, że nie podobna aby się gwałtu jakiegoś miał dopuścić... Prezes widocznie wrzał, stał drżący, konwulsyjnie się rzucając.

Był to jeden z tych smutnych dni wiosennych, majowych, w ciągu których zimny deszcz ostudza atmosferę i dreszczem przejmuje.—Doktorowa lubiła ogień na kominku i nieopodał paliło się na nim... na co nikt nie zwracał uwagi. Przynaglona o pokazanie papierów wahając się jeszcze, wreszcie po namyśle długim, otworzyła biurko wyjęła z niego i przyniosła zwitek Prezesowi. Chciwie porwał go rękami drżącymi nie mówiąc ani słowa, brwi mu się zmarszczyły. palce dygotały, przewrócił cały plik żywo i nagle ścisnąwszy w kłęb —cisnął w ogień.

Doktorowa z krzykiem chciała się rzucić do komina, aby wyrwać z płomieni papiery, lecz prezes rozkrzyżował ręce i odpychając ją silnie, nie dopuścił. Twarz jego nabrała dzikiego rozpaczliwego wyrazu.

— Ty śmiesz! zaryczała kobieta.

— Śmiem!! tak! prawdziwe czy fałszywe, spalę, zniszczę, zdepczę i odepchnę kto mi na drodze stanie. Zapowiadam to pani! Będę się napastowany bronił jak zwierz, wszelkimi możliwymi środkami... nie poszanuję nic. Są w życiu chwile szału... tak.. mów pani, czyni co się jej podoba — ogłoś mnie rabusiem, gwałtownikiem, nikt ci nie uwierzy. Ja cię ogłoszę warjatką i zrobię to tak, że mi wiara będzie dana... Je suis dans mon droit de legiti me defense!

Kobieta padła na krzesło przestraszona i zaczęła płakać, łamiąc ręce... Prezes chodził po pokoju chwyciwszy za kapelusz z miną człowieka. który w rozpaczy popełnił czyn, już się na nim samym mszczący zgryzotą sumienia.

Stanął na chwilę przed gospodynią—miarkując się.

— Moja pani, odezwał się — nie żałuję tego com zrobił. Tak powinienem był postąpić, tak mi moje dyktowało sumienie... Nie burz się pani nadaremnie, fakt spełniony, oszczerstwa te. dzieło podłej intrygi nie egzystuje...

Opamiętaj się pani. uspokój i proszę się nie gniewać.

Widząc, że doktorowa ze łzami odpowiedzieć mu nie mogła, ośmielił się podać jej rękę — którą odepchnęła ze zgrozą. odjęła chustkę od twarzy.

— Mości panie—zawołała, nie przystępuj do mnie, i niech nikt z was nie ośmieli się przejść progu mojego domu! Znać was nie chcę!! Popełniłam przez zbytek zaufania winę, za którą odpokutuję.— Papie-

ry te w wierzytelnej kopii dostanę—choćbym miała jechać za niemi sama! choćby mnie majątek mój kosztować miały. choćbym życiem przypłaciła! Wypowiadasz wojnę—przyjmuję ją. — Ogłoś mi nie za wariację, ja znajdę takich. co mi uwierzą, żeś—nikczemny...

Słuchając prezes bladł... ale uśmiech skrzywił mu usta sine.

— Dobrze—odezwał się—zgoda! Przestrzegam tylko panią, że bądź co bądź, ja też użyję wszelkich środków jakie są w mocy człowieka, który ma stosunki, stanowisko i majątek... Nie ulękę się procesu, nie cofnę przed użyciem w mej obronie wszelkich godziwych i niegodziwych środków. Cel mój święty! bronię pamięci matki.—Miejcie się na baczności — Żegnam panią...

To mówiąc niepewnym krokiem potracając o wszystkie sprzęty stojące na drodze, wyszedł, a raczej zataczając się, wysunął z salonu i zniknął w przedpokoju... Doktorowa długo, niema, przybita pozostała w krześle, z załamanemi rękami... na przemiany płacząc jak dziecko i burząc się...

Na dwunastą godzinę zaprosiwszy prezesa. obliczyła, że dłużej nad pierwszą lub pół do drugiej nie zabawi. a że Kudelka i Tola ciekawi byli dowiedzieć o rozmowie jej z dostojnym kuzynem, na drugą godzinę wezwała ich na obiad... Gdy Tola weszła wreszcie pocichu... a za nią profesor. który ją z hotelu prowadził znaleźli jeszcze doktorową siedzącą w tem samem miejscu i prawie nie przytomną. Tola chwyciła ją za rękę. Widziała już że skutek tego widzenia się z prezesem musiał być nieszczę-

sliwy, lecz ani przypuścić mogła, ażeby taką katastrofą i gwałtem się to skończyło.

— Nie pytaj mnie — podnosząc oczy odezwała się gospodyni — nie pytaj mnie — jeszcze ochłonąć nie mogę. — Stało się, czego ani ja ani nikt w świecie spodziewać się, przewidywać nie mógł, coś gorszego nad wszelkie pojęcie.

Kudelka przestraszony patrzył ciskając kapelusz do piersi.

Doktorowa wskazała na komin...

— Rzucił papiery w ogień!

Okrzyk zgryzoty wyrwał się z ust wszystkich.

— Tak jest. mówiła dalej — nie potrafię wam powtórzyć. com słyszała od niego groźb i wyrzutów. Skończył na tem, że jeśli ja czyn jego rozgłoszę. nikt mi nie uwierzy, bo on osławi mnie jako warjatkę... a nawet!... jako krewny, któż wie — gotów mnie kazać zamknąć w domu obłąkanych. .

Kudelka rzucił się. mimo swych lat osiemdziesięciu z żywością gniewu młodego...

— Pani mnie masz za świadka!

— Na ciebie powiedzą, żeś zdziecinniał, tak jak na Salvianiego mówią że na umyśle osłabł... Musimy się przy przygotować na porażkę...

— Nigdy w świecie — ze szlachetnym zapalem — podchwyciła Tola. stojąc pąsowa od gniewu przy krzesle doktorowej. — Ja nie wiele mogę. lecz proszę przyjąć pomoc moją...

Pani zawsze broniłaś przedemną prezesa, ja go znałam nadto dobrze, jam wiedziała, że gdzie go namiętności lub interes wiedzie — na wszystko jest go-

tów... Niema szlachetniejszej w świecie roli. jak obrońcy uciśnionych....

Dzisiejszy nikczemny materializm tylko może powiedzieć, że słabi nie mają prawa do życia — nauka boskiego mistrza powinna rządzić nami — słabych bronić... złych upokorzyć!

Kudelka aż się rozplakała, przybiegł do Toli i zaczął ją w ręce całować...

— O! moja droga pani — zaczął gorąco — jaka to pociecha jest posłyszeć jeszcze takie słowa. Jam już o świecie zrozpaczył... Dziś inne mu prawo panuje... 1800 lat uczono nas poszanowania słabych — *res sacra miser* — *sinite parvulos venire ad me* — dziś mówią słabym śmierć, silnym życie — *i ve a victis* i chce się umierać. aby tego nowego świata nie widzieć!

— Dajmy sobie ręce — przerwała Tola — jesteśmy słabi — lecz walczyć będziemy za sprawiedliwość, za uciemiężonych i pokrzywdzonych... zwyciężymy!

— A jednak — pani moja — rzekł po chwili profesor — po co mu z rąk było dawać te papiery.

— Musiałam przecież je pokazać — gdybym ich była nie dała, byłby mi je wyrwał — przecież nie wahał się mnie rzucającą się w ogień dla wyrwania ich z płomieni, popchnąć tak silnie, żem o mało nie padła...

— I to jest człowiek — rozśmiał się Kudelka — powszechnego nżywający szacunku, okryty czcią współobywateli — człowiek, któremu płaszczyk cnoty służy do pokrycia...

— Zbrodni! dorzuciła Tola. — To mówiąc zawisła na szyi przyjaciółki. — Droga moja — zawołała... nie płaczmy, ale czynimy co potrzeba, ażeby... prawdzie

dać zwycięstwo. Jest nas dwie słabe kobiety... i jeden...

— Staruszek do niczego! wtrącił Kudelka.

— Tak — ale z nami jest siła sprawiedliwości... Trzeba zedrzeć maskę z tych sykofantów... wołała zapalając się panna... Cicho więc! ani słowa — ale do czynu!! nie skarżyć się, nie płakać. nie głośić... nie budzić ich czujności — działać trzeba!!

Odwróciła się do Kudelki.

— Czy ks. Salviani wyjechał? spytała.

— Jeszcze nie...

— Polecieć mn trzeba wyjęcie urzędowych papierów. on najlepiej wie gdzie i jakich... Wiele potrzeba pieniędzy... wielekolwiek ich zażąda... ofiaruję... Posłać umyślnie — obmyśl pan środki. Dziś, niezwłocznie — natychmiast.

Kudelka się skłonił, a doktorowa otarła łzy. — Z ciebie prawdziwa heroina!...

Cale dwa lata upłynęły po opisanych wypadkach dwa długie lata, które po sobie prawie żadnego nie postawiły widomego śladu. Często tak zewnętrzna skorupa człowieka pozostaje nienaruszoną na pozór, chociaż ją powoli, wewnątrz wykruszają siły, których działanie dopiero w chwili ostatniej się objawia.

Po pamiętnym dniu tym u doktorowej — prezes

przez tydzień może nie wychodził z domu,—znać obawiał się jakiegoś wybuchu, który wcale nie nastąpił. Mógł sobie nawet wyobrazić, że się go złąkla biedna kobieta i że wszelkich kroków dalszych zaprzestała. — W istocie nic na zewnątrz nie wyszło z tego co uradzono naówczas... Po gromie, który padł tego dnia uroczysta nastąpiła cisza — cisza śmierci i grobu. Panna Tola wyjechała wkrótce na wieś, Kudełka zakopał się w swoich ksiązkach, ks. Salviani powrócił do Włoch. doktorowa chodziła do kościoła. odwiedzała ubogich, przyjmowała małe kółko znajomych. i tylko się już więcej u prezesów nie ukazała. Sama prezesowa, piękna owa Żuljetta znać przez męża nie wtajemniczona. pukała po kilkakroć do jej drzwi, zawsze zbywana grzecznie tem, że pani w domu nie ma. Gdy się spotkały gdziekolwiek; doktorowa jej widocznie unikała a nagłona w rozmowie dała nczuć. że dawne stosunki zostały zerwane. Przyczyny nie mogła odgadnąć piękna Żuljetta. spytała o nie męża — a ten obojętnie i pogardliwie odpowiedział.

— Kto tam może odgadnąć, co się kobiecie takiej jak ona w głowie ubrda? Cóż dziwnego, że zrywa z nami bez przyczyny... tak samo postępowała całe życie. Hrabianka mimo woli familji poszła za proletariusza—osoba majątna, owdowiawszy mogła to głupstwo naprawić — nie — została wdową, aby grać rolę nieszczęśliwej. poświęcającej się dla biednych. — Chciała się im oddać czemuż nie wstąpiła do klasztoru .. Bzdurstwo i nic więcej.

Rozmyśliwszy się prezes z miną jakąś tajemniczą dorzucił.

— Bardzom rad, że stosunki się zrywają, nie były

one dla ciebie właściwe. Dałem nczuć doktorowej, że mi się nie podobają pewne figury zbyt poufale do jej domu, w różnych porach uczęszczające... Ludzie już gadają o jesiennych romansikach... wcale nie ładnych. Babie się chciało być swobodną, odwróciła się do nas plecami—to i lepiej.

Żuljetta zamilkła—skończyło się na tem, starała się coś dowiedzieć o tych romansikach jesiennych doktorowej, ale mimo baczego nastawiania ucha, najmniejsza ją nigdy o nich wieść nie doszła. — Piękna Żuljetta nie zwykła była nazbyt ściśle roztrząsać tego co jej mąż mówił, wierzyła w niego jak w ewangelję.

Prezes ze swej strony po kilku miesiącach, sądząc że doktorowa miała czas ochłonąć i że sama musi pragnąć zbliżyć się do niego, próbował spotykając ją — zapomnieniem okrywszy przeszłość — odnowić dawne stosunki — lecz doktorowa nie odpowiadając na pytania, nie chcąc go znać ani widzieć, odwracała się uparcie. — Musiał więc zaprzestać, ale go ta wzgarda bolała i zemstę za nią żywił w sercu. Ludziom dawał do zrozumienia, że oni sami zerwali z doktorową, przekonawszy się, iż ma początki lekkiego pomieszania, które obcowanie z nią czynią, co najmniej nieprzyjemnem.—

Starania doktorowej i Toli o odzyskanie zniszczonych papierów, niezmiernie przeciągnięte zostały najprzód chorobą ks. Salvianiego, a następnie jego zgonem... Nie przestawano wszakże zabiegać i kołatać—choć zdawało się, że z przeciwnej też strony usiłowano przeszkodzić.—

Wszystko to przez lat dwa tak się utarło, zapo-

mniało, tak nowemi gruzami życia narosło, jakby na wieki pójść miało w zapomnienie.

Profesor Kudelka jakkolwiek w jego wieku rok każdy brzemiała znacznego dodawał—nie posunął się bardzo. Pozostała mu dawna żywość i pocziwe niezawiedłe serce. Spał mniej to pewna i jadł bardzo mało, szkieł mocniejszych do czytania używał, ale na mózgu nie postarzał, pamięci nie stracił—i nawet owego pięknego fraka granatowego nosić nie poprzestał..

Panna Tola przyjeżdżała czasem do miasta dla odwiedzenia doktorowej, ona jeździła do niej na wieś, spędzając tam czasem po kilka tygodni. Kudelka nawet spędzał wakacyjnych dni kilkanaście herboryzując w lasach pięknej heroiny, ale na dłużej od książek swoich oderwać się nie mógł. — Przez cały ten czas, mimo najtroskliwszych poszukiwań śladu pobytu pana Teodora Murmińskiego nie odkryto.

Że jednak żyć musiał wszelkie było prawdopodobieństwo, gdyż dwa razy w sposób tajemniczy zgłaszał się do profesora. Listy te przychodziły mu przez jakieś okazje, bez żadnego stępla i nie zawierały nic oprócz pozdrowienia. Ton ich wszakże, sposób pisania pocieszał tem, że zdawał się dowodzić pewnego spokoju ducha i przejednania z życiem.

Za każdym razem profesor z listem biegł do doktorowej, doktorowa posyłała go Toli. Nie było tajemnicą dla przyjaciółki, że piękna panna, która się tego dawniej zapierała—od ostatniego spotkania z Teodorem zachowała dlań ożywione uczucie—które próbę dwóch lat przetrwało zwycięzko.

Właśnie w tym roku wiosną, zaproszona dokto-

rowa pojechała była na wieś do Toli, aby tam słowików posłuchać—gdy jednego dnia około godziny trzeciej, profesor Kudełka przez wszystkich mieszkańców tego domu, w którym od tak dawna zamieszkiwał, posądzony został o nagłego oszusta.

Rzecz się miała w sposób następujący:

Profesor swoim zwyczajem udał się był do biblioteki po obiedzie. Dla pomocy wziął z sobą uboższego ucznia, który mu książki zdejmował, otrzepywał i na półki układał... Tego dnia po dwu leciech oczekiwania przypadła kolej na stare bukiny, nabyte po ks. Jeremim, których dotąd baczniej nigdy nie rozpatrywał Kudełka... Na górnej pulce stał w futerale dobrze zamkniętym, gruby tom z napisem złożonemi głoskami: *Breviarum romanum*.

Profesor wskazał go uczniowi ręką i rzekł.

— Pokaż no mi ten brewiarz w futerale, raz go trzeba przecie wyegzaminować jak należy, bo jeśli edycja nowsza, to go któremu księdzu daruję.

Pyłu było na futerale co nie miara. Otrzepawszy starannie, uczeń chciał ułatwić staremu zajrzenie do książki dobywając ją z tego pudełka. Wierch zszedł dosyć łatwo, ale gdy przyszło wysuwać samą książkę, student, choć ją między kolana wziął i z całej mocy męcząc się usiłował wydostać, upadł a nic nie zrobił. Dopieroż Kudełka podniosłszy i brewiarz i chłopca, kazał mu z całych sił trzymać za futerał, a sam dobrze księgę ująwszy, z wielkim wysiłkiem ledwie nie ledwie ją z tych kleszczów uwolnił. Spotnieli oba. — Profesor położył książkę na kolanach i miał tytułu szukać, gdy mu się sama rozpadła na dwoje... i—między kartami drukowanemi... ukazał się

ogromny pakiet papierów, pięciu pieczęciami obwarowany...

On to sprawił, że brewiarzowi tak nie łatwo przyszło się wydostać na światło dzienne... Profesor chwycił kopertę... i krzyknął ze zdziwienia.

Stało na niej charakterem bardzo wyraźnym.

„Na ręce ks. prałata Jeremiego Zakliki, dla syna mego Teodora Murmińskiego, do rąk własnych.“

Niżej był podpis prezesowej, imię *d e d o m o, p r i m o v o t o i s e c u n d o*. — Podpisała się „Murmińska!“

Był to ten nieszczęsny depozyt, który ks. Jeremiemu spokojnie umrzeć nie dawał, którego tyle się naszukał ks. Strużka, a który z książkami razem dostał się opatrznosciowo w ręce pocziwego staruszka. Pakiet był gruby, tak że łatwo go było posądzić iż oprócz papierów, znaczną sumnę pieniędzy zawierać musiał.

Profesor uchwyciwszy go oburącz, rzucił brewiarz, potrzącił chłopca i wyleciał jak oparzony, wołając—koni! koni!

Krzyczał tak głośno i tak niepomiarowanie, iż służba cała z domu wybiegła, i poczęli się ze starego szaleńca śmiać trzymając za boki—był bowiem na pół nieprzytomny. W chwili gdy ten legat znalazł, przyszło mu na myśl, że ma lat przeszło osiemdziesiąt, że tak samo jak ks. Zaklika umrzeć może, a koperta w gorsze niż jego ręce wpadnie. Chciał ją natychmiast sam odwieść i złożyć pannie Toli, do przechowania, wiedząc, że panny dwudziestokilkuletnie zawsze więcej mają widoków życia, niż osiemdziesięcioletni profesorowie.

Dopiero śmiech panny Doroty i panny Klary, dwóch garderobianek z pierwszego piętra i dołu — oblał go jak zimną wodą. — Profesor kopertę schował do kieszeni, wrócił na górę, chłopca odprawił dając mu talara, aby nie paplał — sam zaś opatrzywszy się w płaszcz, pozamykawszy drzwi, poszedł dopiero na miasto. aby nająć furmankę u znajomego żydka, który go już parę razy na wieś woził.

Nie rozrachował profesor, że będzie musiał w drodze nocować — i ze strachu by mu kto tych papierów nie odkradł, w małej karczemce na gościńcu zmuszony kilka godzin przepędzić, świecę palił i ani oka nie zmrużył.

Dopiero około dziesiątej nazajutrz dojechał do dworu w Kalisku.. Obie panie siedziały jeszcze przy śniadaniu pod zielonym bluszczem okrytym gankiem od ogrodu, gdy kurzem cały osuty, z resztą włosów w nieładzie — profesor zjawił się wśród nich i padł ze znużenia mówić nie mogąc, na ławkę...

Doktorowa poznała po nim zaraz, że nie darmo przybył... ale twarz pocziwego Kudelki uśmiechała się mimo śmiertelnego zmęczenia — to pocieszało... Tola co najprędzej zakrzątnęła się około herbaty.

Odetchnąwszy wreszcie. pierwsze słowa, które wyrzekł. — Otom się zhasał!

— A czegożeś się tak spieszył? zapytała doktorowa.

— Obawiałem się umrzeć, mam przeszło ośmdziesiąt lat!

Obie panie rozśmiały się.

— Nie śmieJCie się, zawołał profesor dobywając

z kieszeni koperty i rzucając ją na stół. — Ot co wiozłem!

Można sobie wystawić zdziwienie i radość tych pań, gdy ujrzały zdobycz. Profesor musiał opowiadać jak się do rąk jego cudownie dostała i przechowała.

— Ale, widzi pani — dodał — a nużby mi fantazya przyszła powrócić na łono Abrahamowe niespodzianie? Biedne człeczysko mógłby był na tem cierpieć. Nie chciałem mieć na smnienin.

Nastąpiły narady co poczynąć.

— Ani chwili się nie namyslam — zawołał Kndelka — wracam do miasta złożywszy w pewnych rękach depozyt i jutro ogłaszam w gazecie.

— Jak? zapytała doktorowa.

— A no — jak jest. „Daje się wiedzieć pann Teodorowi Murmińskiemu i uprasza znajomych, aby mu oznajmili, gdzie się kolwiek znajduje, — iż depozyt przez ś. p. matkę złożony dla niego, pod jego adresem, ostatnią wolę jej i legat zawierający... znajduje się w ręku prof. Kndelki. A że wymieniony przeszło lat osiemdziesiąt życia sobie liczy, uprasza pana Teodora, aby go jak najprędzej odebrać raczył.“

W tej myśli zredagowano ogłoszenie.

Profesor wypoczął, objad zjadł, żydka, który go na trzęsącym wózku przywiózł, odprawił, panna Tola dała mu wygodniejszy powóz i nim się do miasta dostał, chociaż dosyć późno w nocy.

Drugiego dnia sam poszedł do redakcji i inserat swój zaniósł.

Wieczorem już go w mieście czytano i komentowano, a hałas i wrzawy narobił nie małej. Kudelka wcześniej tego dnia poszedłszy spać, wcale o tem nie

wiedział. O dziewiątej, gdy jeszcze nie ubrany był, zadzwoniono do drzwi.

Prezes majestatyczny, wyprostowany, z namarszczoną brwią nakazał się na progu. Spojrzał na otwierającego mn staruszka, zaledwie skinął mn głową, dobył gazety z kieszeni, wskazał palcem inserat i zawołał głosem groźnym.

— Co to jest?

— To? ogłoszenie.

— Kto to podał?

— Ja.

— Waćpan? Co to ma znaczyć? Nowa intryga czy kalumnia? zawołał prezes, ale jak inne poknszenia potrafiłem zetrzeć na miazgę, tak i temu podolać.

Kudełka był człek spokojny, podniósł oczy do góry i skłonił się, jakby żegnał prezesa. Ten stał.

— Wytlumaczysz mi pan, co to znaczy?

— O tyle, o ile ja sam to sobie wytłumaczyć umiem — rzekł cicho i bardzo łagodnie profesor, który się wcale nie uląkł groźnego głosu. owszem coś na kształt szyderskiego uśmieszku sarkastycznego błądziło po jego nstach. Ś. p. pani Prezesowa *secundo voto* Murmińska...

— Co mi waćpan pleciesz? ofuknął prezes.

— To co stoi na kopercie — mówił sobie wolno Kudełka. Ś. p. prezesowa *secundo voto* Murmińska — powtórzył wyraziście każdą zgłoskę wymawiając — gdy się czuła blizką zgonu, powołała Im. ks. Jeremiego Zaklikę — Panie świeć nad jego duszą — do ostatniej spowiedzi i wręczenia mu dyspozycji, której znać komu innemu powierzyć nie chciała.

Prezes szydersko się śmiał. a Kudełka mówił dalej, nie zwracając na to uwagi.

— Depozyt złożony u ks. Jeremiego nie mógł być wynaleziony po jego śmierci.

— Tak, aleście go sfalszowali — wtrącił prezes.

— To się okaże, to się okaże — spokojnie ciągnął profesor. Z książkami po prałacie, które ja kupilem, doszedł do rąk moich i dopiero wczoraj go znalazłem.

Głośniejszym jeszcze śmiechem powitał to prezes.

— Doskonale — tylko trochę niezręcznie! zawołał. I któż to waszym brednią uwierzył! Za kogóż ludzi macie.. intryganci... fałszerze... i ty — stary.

— Za pozwoleniem — wtrącił profesor — ja o zarzut fałszerstwa do sądu pozwę.

— Gdzież te wasze legaty imaginacyjne? Gdzie? to paszkwil tylko ten inserat — wołał prezes — gdzież ten legat?

— Za pozwoleniem, uklonił się z uśmiechem Kudełka; choć u mnie się na kominku nie pali, lecz cudzem doświadczeniem nauczony, nie mam ochoty zdawać się na dyskrecję Jaśnie Wielmożnego pana. Legat okaże się w swoim czasie.

Krew wystąpiła na twarz dostojnemu panu, popatrzał z góry na małego profesorzyne, który śmiał mu stawić czoło — i począł z innego tonu..

— Panie profesorze, rzekł. ani to jego wiekowi, ani powołaniu właściwem nie jest leść w brudne takie intrygi. Życzę mu, jeśli spokój miły — rzuć to i nie bądź narzędziem ludzi podłych... których ja wcale się nie lękam.

— Pan prezes znasz mnie od lat wielu — odezwał się stary iż jestem człowiek spokojny. p r o c u l n e -

gotiis. ale kiedy mnie opatrznosc używa za narzędzie, takiej wielkiej pani trudno nie służyć.

— Ale to są kłamstwa oczywiste! Legat! cóż to za legat! Nie ma go na świecie, chcieliście tylko mnie i matkę oszkalować w interesie... o to wam szło...

— Jeśli pan prezes sądzi, iż ja dotknięty zarzutem tym — odezwał się stary — pójdę zaraz do kantorku. wydobędę kopertę z pięciu pieczęciami i zechcę mu ją pokazać, abyś mi ją tak wyrwał jak doktorowej — to się mylisz. JWPan. — Nie — choć stary ale tak niedorzeczny nie jestem.

Bystrem okiem pełnem jadu zmierzył go prezes.

— Będę zmuszony prawnie się upomnieć o potwarz... o paszkwil... zawołał groźnie.

— Nie jestem od tego — odpowiem i obronę się rzekł profesor.

— Przypuściwszy nawet że coś egzystuje, w chwili gorączki niedorzecznie i nieprzytomnie lub figurycznie zapisanego... mówił dostojny pan — cóż z tego? łajdak ten nie żyje, to jawna rzecz, a sukcesorem ja jestem...

— To sąd rozstrzygnie — dodał Kudelka — nie moja rzecz — nie moja!!

— Powiesz że mi. gdzieś złożył? tu? w sądzie?

— Nie mam obowiązku, zdaje mi się, zdawać panu rachunku — odpowiem przed sądem...

— Stary głowę stracił! w piętkę gonisz! trzęsąc się dodał prezes — z tobą nie ma co gadać.

Kudelka otworzył drzwi i skłonił się.

— Jeszcze raz po ludzku mówmy, — zapierając drzwi silnie krzyknął prezes — masz kopertę jaką?

Mam...

— Moja matka w ostatnich chwilach była skutkiem newralgji często pomieszana na umyśle — to wszystkim wiadomo. Kochała do zbytku tego gałgana, mogła mu z czułości dać nazwisko dziecka... to nic nie dowodzi. W takim stanie w jakim ś. p. matka moja schodziła ze świata, czynności żadne nie są ważne. Gdybyś miał sumienie.

— Panie prezesie, przerwał Kudelka, — to rzecz sądu nie moja rozstrzygać. Jeszcze prezes stał. bełkotał, ociągał się, sam wreszcie nie wiedział jak sobie począć z upartym starym.

Zmierzył go parę razy od stóp do głów — mruczac...

— Jeśli się nie zgłosi to znać nie żyje, dodał — a w takim razie — ja opozycję kładę... aby mi ten fałszykat był oddany. Panowie przerachowaliście się — dodał śmiejąc...

Kłaniam uniżenie.

— Ja także! rzekł Kudelka i za odchodzącym drzwiami zamknął.

Smutne to było życie tej istoty. która chwilę błyszczała na wielkim i płochym świecie, skosztowała jego przyjemności, doznała od nich niesmaku, i wyniosłszy serce złamane cofnęła się tak z całym zasobem młodości na rodzaj dobrowolnej pustelni wiejskiej. Tola wychowana przez dosyć płochą ciocię, która życia innego nad sztuczne, podniecane, gorączkowe i fałszywe nie rozumiała, dobyła się z tego wrzątku o własnych siłach. Dopomogło jej trochę spotkanie człowieka, który naówczas był jeszcze w całym rozkwicie młodzieńczego ducha i najszlachetniejszych prądów ku ideałom. Teodor Murmiński, ukochane

dziecię kobiety zacnej a prawej lecz nieco słabej. pod kierunkiem ojca wyrobił w sobie pierwsze zdrowe świata i życia pojęcia. Stary Murmiński był aż do zbytku idealistą i w utopie wierzył więcej niż w rzeczywistość. Zdawało mu się. że świat jest już na drodze do odrodzenia i pochwycenia celu wiekowych wysiłków; dziecię toż wykarmił jakby je nie dla teraźniejszości. ale dla przyszłości sposobił. Syn całą duszą młodzieńczą przejął ojca nauki i z niemi wyszedł w świat. który znalazł zupełnie od spodziewanego odmiennym. Musiał więc walkę staczać nieustanną. a z młodzieńczą wiarą i siłą stając do niej nie rachując się z uwyknięciami i obyczajem wieku. doznał zawodów. wyszedł z niej rauny. rozbity... zwątpiały. Był to po części także los jego ojca. Prezesowa pokochała go. przywiązała się do niego. oddała mu rękę i nalegania familji zmusiły nieszczęśliwą do ukrywania tego związku. Murmiński dotknięty boleśnie cofnął się by jej życia nie zatruwać.

Syna miała przy sobie prezesowa... lecz o niego musiała w nieustaunej być trwodze. Starszy (pan prezes) powziął ku niemu jakąś instynktową nienawiść. Pierwszym jej powodem była zazdrość o serce matki. później oba niemal razem zobaczyli Tolę i oba się w niej rozkochali. Teodor był żywy. dowcipny. otwarty aż do zbytku — temperamentu poety i artysty. Prezes ponury. sztywny, zimny. szyderski. nosił piętno biurokraty nim został urzędnikiem. Piękna, żywa i śmiała Tola nie mogła sympatyzować z potomkiem znakomitej rodziny. któremu się zdawało, że go dla imienia i majątku wszyscy miłować i szanować musieli — wołała trochę płochego ale miłego chłopca,

jakim był Teodor. Prezes jej tego darować nie mógł. Między braćmi powstała walka. w której Murmiński wojował szyderstwami — prezes groźbami. Przyszło do tego, że wyrzucał dziecku z łaski przyjętemu do domu, iż śmiał z nim rywalizować. Walka ta wrzała zrazu skryta, wyrywaniem tylko pół słówkami się objawiając, ale z każdym dniem stawała się gorętszą, zajądlęszą, zażartszą. Teodor, choć obrażony, lekko brał wszystko, prezes mściwie i uamietnie. Tola tak wyrażnie dawała pierwszeństwo Murmińskiemu, iż prezes w końcu usunąć się musiał, ale postarał się, żeby ciocia i familia rywalowi też dali odprawę; potrafił nawet pannę zniechęcić i rozgniewać ją na Teodora.

Murmiński musiał uchodzić — lecz całe to krótkie a gwałtowne starcie dwóch braci zostawiło po sobie niezumazane ślady, które na życia resztę wpłynąć miały. Prezes poprzysiągł zemstę.

Tola, która się sercem i duszą przywiązała do Teodora, raz wyrzekłszy, że za nikogo wyjść nie chce, jeśli jej własny wybór nie pokieruje losem, odepchnęła starających się wielu, a potem usunęła się usamowolniona na wieś i poczęła życie samotne w towarzystwie jednej panny Teresy. Rzadko się to u nas trafia, aby panna mogła wyzwolić się z więzów rodzinnej zależności i mieć odwagę rozpocząć życie o własnej sile. Nie było to w obyczaju kraju nigdy — sieroty chroniły się zwykle pod strzechą krewnych, oddawały w ich opiekę i uznając swą słabość, losy swe zwierzały w ręce starszyny. Panna Tola dawała niebezpieczny przykład samowoli, z którego zrazu źle na przyszłość wrócono, nasmiewano się, uczyniono z niego przedmiot powszechnych pogadanek i szyderstwa. W krótkim

jednak przeciągu czasu podziwienie zastąpiło śmiechy i ciekawość tylko obudzało życie i gospodarstwo młodej dziedziczki.

Zasiadłszy na wsi z panią Teressą. Tola znalazła dom dawniej rodzicielski opuszczonym. majątki jak po wojnie z rąk dzierżawców wyszłe, ruinę smutną i nieład wszędzie. W czasie jej małoletności gospodarowano tu — nie bardzo myśląc o przyszłości — panował kto chciał i robił każdy co mu się podobało. Zaczawszy od domu spustoszenie było wszędzie prawdziwie przerażające. Wspomnienia dziecinne ledwie się do czego przyczepić miały. Dzierżawcy, ekonomowie, plenipotenci nie poszanowali nic — każdy co tędy przeszedł, zostawił po sobie tylko trochę jeszcze większe zniszczenie. Pierwszy raz przybywszy do Kaliska, pomimo energii swej i rezygnacji panna Tola leż powstrzymać nie mogła. — Dom był prawie niemieszkalnym. tak go opuszczono, ogród na pół zdziczały. pół wycięty i nieoparkaniony, budowle się waliły, inwentarz w najniebezpieczniejszym stanie, pola nieobsiane... ludzie zdziczali także... oto co ją spotkało w progu. — W kilka dni potem z wielkiego smutku przeszła do pracy wielkiej i niezmordowanej... Trzeba było stworzyć na nowo wszystko, a Tola znalazła w tem zajęciu pociechę. Kalisko przerobiła po swej myśli. Dom, ogród, zabudowania powoli powyrastało wszystko, a ręka kobiety zdradzała się w staraniu o nadanie wdzięku ogrodzonemu dworowi. Jak większa część naszego kraju. okolica, w której leżały dobra panuy Toli. była płaska, a znać dawniej lasami i moczarami pokryta. Z tych puszczy pozostały tu i owdzie olbrzymie dęby i lipy, które ogród przyozdobiły. Dwór sta-

ry, murowany, niewygodny, poszanowawszy ściany co lepsze widziały czasy. przerobiono na piękną siedzibę na pół okrytą dzikiem winem i bluszczami. Mnóstwo kwiatów wyrosło wśród trawników. — Dom przyozdobił się wewnątrz bez zbytku, ale dla oka mile. Nie wielkim kosztem potrafiła dziedziczka kaliska uczynić z niego jedną z najwdzięczniejszych wiejskich posiadłości w okolicy. Na gospodarzy znalazła dzierżawców długoletnich, którzy mając sobie zapewnionem że plony zbierać będą, mogli też jak dziedzice wkładać w ziemię i rolę ulepszać. Na wszystkie te rozporządzenia panieńskie spoglądano z rodzajem niedowierzania i zazdrości; szukano coby się dało wyśmiać i skrytykować — w końcu wszyscy zmuszeni byli uznać, że panna była bardzo praktyczna. Uczczono ją tym wyrazem, który uśmiech wywoływał jej na usta.

Mnóstwo różnego rodzaju pretendentów zgłaszało się do jej ręki — z rozmaitemi kwalifikacjami — ludzie praktyczni sądząc że ich potrafi ocenić, młode chłopcy myśląc że urokiem młodości za serce ją wezmą, dyletanci, literaci wiedząc że lubi książki... lecz nikomu się tu jakoś nie powiodło. Mamy, ciocie, ojcowie, przywozili jej synów, siostrzeńców, kuzynków. Tola przyjmowała ich bardzo grzecznie, bardzo obojętnie — ale po dwóch lub trzech odwiedzinach, nie mieli ochoty powracać.

Ten chłód pięknej panny, ta miłość niezależności wydawały się czemś tak potwornem, iż na wytłumaczenie ich potworzono najrozmaitsze legedy i baśnie... Najpowszechniej jedną utrzymywano, że musiała się kochać nieszczęśliwie i zakląć, że nie pójdzie za mąż. Znaczne dobra, i wyraźne tu zamiłowanie odosobnie-

nia od ludzi, naprowadziły nawet na myśl, że mogła by ufundować klasztor i zostać zakonnicą—próbowano i to jej poddać, obiecując ułatwić—ale Tola wręcz odpowiedziała, że powołania do klasztoru nie czuje.—Zbyt się ludzie zajmowali nią—co ją w końcu gniewać przestało i półuśmiejch tylko wywoływało na usta... Żyła wedle raz zakreślonego planu, ani się szczęściem chwalać, ani użalając nad swym losem.—Goście zastawiali ją zawsze w jednym humorze, spokojną i zadowolnioną.

Bardzo często od niejakiego czasu przebywała tu doktorowa, której miasto obrzydło... Razem z nią odbywały wycieczki po okolicy, czytały, porządkowały w ogrodzie, a nowy wykwitujący przysłany z Erfurtu krzaczek jaki lub cebulka... doskonale je ubawiał.

Od przeszło dwóch lat miała panna Tola sąsiada nowego. Był nim Niemiec, który dobra wystawione na licytację zakupił. Był to stary pański majątek, należący niegdyś do rodziny nagle w końcu XVIII w. zubożonej i równie nagle w XIX upadłej. Nazwisko dawnych dziedziców stare i piękne dało im możność zbliżyć się do dworu Augusta III, później czynnymi być już w czasie zawikłań od 1755 do 1795 roku.

W ciągu tych lat dwudziestu — ubodzy dawniej stosunkowo ...scy przyszli do ogromnych bogactw, w sposób jakiś tajemniczy. kupowali dobra i sąsie dnie właśnie obrawszy sobie za rezydencję, nieopatrznie w nich, nagle, wielkim kosztem zaczęli się budować, nie bacząc, ile w to włożą. Pałace, oranżerie stajnie z kolumnadami, oficyny, altany, kościoły... wszystko to jakby różczką czarodziejską z ziemi wyprowadzone powstało w końcu XVIII w. — Ale, nim

dokończono pałace, owe ogrody i gmachy... państwo...scy zbankrutowali... Budowy zostały nie zakończone, mury pozamakaly, stały pustkami, porozsypywały się w znacznej części... Majątek przechodził z rąk do rąk, niszczał coraz bardziej i w końcu baron Opern go kupił. — Pochodził on z nad Renu, z dawnej bardzo rodziny, zubożałej — która się pracą i handlem wielkiej dorobiła zamożności. — Typ też człowieka był osobliwszy i u nas nie spotykany. Nazwisko arystokratyczne, wychowanie staranne, formy wielkiego świata, nauka gruntowna — a przytem praktyczny zmysł nowego człowieka XIX wieku.

Nie przywiązywał nadzwyczajnej wagi do swojego baronostwa — ale rozumiał doskonale, że ono mu w jego niemieckiem społeczeństwie, z wielu względów posługiwać mogło i być użytecznem.

Opern nabywszy dobra nie zbyt drogo urządzał je na sposób niemiecki. — Był młody, nieżonaty i niezmiernie czynny. W pierwszym roku zajął się zaraz postawieniem majątku na stopie nowożytnemu gospodarstwu odpowiedniej, zrozumiał, że i rudera była materialem do zużytkowania, wartym zajęcia. A że mu na odpowiednim kapitale nie zbywało, wziął się zaraz do restauracji pałacu, oranżerii, ogrodu i wszystkiego, co rezydencję wiejską przyjemną uczynić może.

Ojciec barona był krewnym i przyjacielem księcia Pückler-Muskau; młody Opern bywał często u znakomitego kuzyna swego i nabrał w jego towarzystwie zamiłowania do ogrodów...

Położenie i ogromne obszary gruntów dozwalały mu także o parku pomyśleć... W rok prawie zarysowany został i wykonany plan ogromnego i przepyszne-

go ogrodu... Stare drzewa jak w Kalisku ułatwiły bardzo i przyspieszyły robotę. — Była to jedyna mania i fantazja pana Opern... ale też na nią nie żałował. W okolicy mówiono, że się Niemiec zrukuje nieochybnie... nie wiedząc tego, że wiele pięknych rzeczy, tanim kosztem się daje zrobić, kto umie. — Co najdziwniejsza opowiadano też w sąsiedztwie: że głównym pomocnikiem barona w tem całym ogrodnictwie był Polak... z którym on jak z przyjaciелеm się obchodził. — Ale był to jakiś człek zdziwaczały czy wynarodowiony. bo z uikim nie żył, do nikogo prawie nie mówił i cały zatopiony w ogrodzie był mu tak oddany, że go prawie nie widywano. Sąsiadom baron mówił, że człowieka tego znał od dawna. Spotkawszy się z nim w jednej ze swych podróży na wschodzie, ale że go tu znowu znalazł i winszując sobie tego skarbu, który mu opatrność dała

Dziki ten ogrodnik mieszkał w domku w samym parku i prawie po za jego granice nie wychodził. Namówiwszy barona, ażeby u siebie zaprowadził szkółki i szklarnie dla wyprzedaży drzew, krzewów i roślin, dobrawszy sobie pomocników, nieustannie z nimi pracował. — Wieczorami jednak widywano go długie często godziny spędzającego sam na sam z baronem, na stopie przyjacielskiej.

Opern zresztą nigdzie nie bywał w sąsiedztwie będąc wtajemniczony w ten stosunek nieprzyjacielski, który autochtonów od kolonistów dzielił na dwa obozy. Zdawał się zrezygnowany na życie samotne i nie próbował nawet robić znajomości, chociaż ich nie unikał.

Z pustelni swej w Kalisku panna Tola mogła

widzieć w dali drzewa i mury sąsiada swego, od którego dzieliła ją tylko znaczna pól płaszczyna. Spro-
wadzając często rośliny i krzewy zdaleka. gdy się do-
wiedziała o zakładzie ogrodniczym pod bokiem. po-
słała parę razy dowiadując się o różne nowości ogro-
dowe i z łatwością je tam nabyła. Dwa piękne dęby
piramidalne rosły przywiezione ztamtąd na gazonie.
Mówiły o tem z doktorową właśnie po odjeździe pro-
fesora i śmielsza daleko jejmość odezwała się, że na
miejscu Tola nie wytrzymałaby, żeby tego zakładu nie-
mieckiego nie widzieć...

— Niemiec tam podobno nikogo nie puszcza.

— Jak to może być — dodała doktorowa — jeśli
sprzedaje, toć można pojechać coś kupić, a kupując
zobaczyć owe ogrody. .

— Jeśli chcesz to się poślę spytać? odezwała się
Tola.

— Po co pytać? to najgorsza rzecz odpowiedzą, że
nie puszczają—a gdy zajedziemy pod bramę, nie po-
dobno ażeby nas tak niegrzecznie odprawili. Nawet
Niemiec bywa dla kobiet względny.

— No. to jeśli chcesz. możemy się po obiedzie za-
awanturować. Z tobą będę śmielszą — odezwała się
Tola, bo przyznam ci się, panuie do kawalera, cho-
ciażby Niemca, jechać z pierwszą wizytą—i mnie się
już wydaje trochę niestósownem.

— Ależ nie do kawalera! cóż mi za kawaler. Nie-
mieć—odezwała się śmiejąc doktorowa — pojedziemy
do ogrodu.—Tola ruszyła ramionami.

— Dobrze. po obiedzie parę koni do koczuka i —
spróbujemy...

Śmiały się, domysławiając z góry jak zostaną przy-

jete... Wieczór był piękny, droga dobra... obie panie wyjechały w wybornym humorze, a zbliżając się do dworu barona Opern. przezwanego Opernhoffen. mogły podziwiać już przepyszne budowle i sam zarys parku, utrzymanego z niemieckim staraniem. Żelazne w murowanych słupach ogrodzenie. z bramą ozdobioną w dwa przepyszne wazony rzeźbione, wiodło w podwórzec pałacowy. Było to razem wnieście do ogrodu...

Posłano służącego z biletami prosząc dziedzica o pozwolenie obejrzenia ogrodu i oranżerii. Służący bardzo długo zabawił i kazał na się czekać. nareszcie otworzono bramę, a w podwórzu ukazał się wysokiego wzrostu młody jeszcze mężczyzna. wojskowej postawy. nieco na Anglika wyglądający, który pozdrowiwszy wysiadające panie, zarekomendował im się jako dziedzic. Rozmowa toczyła się po francuzku. Tola przeprosiła go za natręctwo, tłumacząc swą miłością ogrodów i kwiatów. Mówiąc o nich dziedzic wprowadził je do ogrodu. Nieopodal od pałacu były ogromne oranżerie, ananasarnie. cieplarnie różnego rodzaju i na wielką skalę znać prowadzone ogrodnictwo. Panie zwróciły się tutaj podziwiając rzadkie rośliny spotykane co kroku. Baron Opern nadzwyczaj grzecznie i uprzejmie ciceronował okazując niepospolite obeznanie z florą egzotyczną. Osobna część ogrodu osłonięta od północy. wydzieloną była na to gospodarstwo, które z wzorową starannością było prowadzone. Chwalono niezmiernie.

— Wszystko ja to winienem. odezwał się baron śmiejąc — jednemu z ziomeków waszych—którego nie-szczęścia doznane zapędziły tu do mnie. — Nieoszaco-

wany człowiek!! Oddał się cały ogrodnictwu. Ael to ciekawa zaprawdę historia mówił Opern.—Spotkaliśmy się z nim raz pierwszy w Algierze, polowaliśmy nawet na lwy razem... Po latach wielu na pół obłąkanego, głodnego, odartego wypadkiem znalazłem nie daleko od gościńca, na drodze z.... Żem go poznał — to istny cud, bo się bardzo odmienił... Zdawał mi się tak nieszczęśliwym, żem go nie puścił i zmusiłem. by jechał ze mną. Tu powoli nabrał namiętności do ogrodnictwa odemnie, wyuczył się, przeszedł mnie samego. i jest dla mnie—nieoszacowanym skarbem. Żyje życiem swych roślin i krzewów.

Baron się rozśmiał.

— Dziki, dziwak, ale dusza szlachetna, zboleła — piękna, sympatyczna... Jest mi dziś równie droгим towarzyszem w samotności jak pomocnikiem w pracy.

Tak mówiąc weszli do parku zakreślonego na bardzo obszernej skale. — Umiejętne rozporządzenie klombów, przesliczne aksamitne trawniki, stare drzewa, harmonijnie posprzągane tony różnych liści—stanowiły prawdziwy krajobraz przypominający parki Anglii. — Nie brakło nawet wody, bo umiano zużytkować mały strumyk, który powstrzymany tworzył parę stawków w ogrodzie.. Obie panie mówiły nie wiele, ale patrzyły chciwie — bo istotnie widoki były prześliczne. a Kalisko nawet widziane ztąd tworzyło wcale ładny punkt. na którym oko się mile zatrzymywało...

Droga, którą te panie szły z baronem wiodła około domku owego tajemniczego a nieszczęśliwego rodaka .. ale Opern zapewniał, że dziki jego przyjaciel

zobaczywszy obcych uciecze pewnie i schowa się w najciemniejszy kąt ogrodu...

Domek malutki, wśród starych olch — z ganeczkiem osłonionym pnąciami się roślinami, stał bardzo wdzięcznie ukryty w cieniu... Drożyna zawracała się tu nagle i tworzyła kąt, tak że przybywających wcale widać nie było. i temu zapewne winny były panie. iż zapowiedzianego samotnika zastały nad stolikiem z książkami w ganku...

Usłyszawszy chód podniósł głowę i zdziwiony stanął jak osłupiały...

Baron Opern jeszcze bardziej zdumień się musiał. bo doktorowa krzyknęła aż—pan Teodor!

Tola podniosła oczy drgnąwszy na to imię. Był to w istocie Murmiński. lecz znowu zmieniony wielce. Nie był to ani ten młodzieniec pełen zapału jakim go znała Tola przed laty, ani ten rozdrażniony i zbolący szaleniec. z którym się spotkała u doktorowej, ale mężczyzna smutny, uspokojony. zrezygnowany...

Na widok tych pań. podniósł się z ławki. jakby chciał uciekać, popatrzał na Tolę i twarz mu oblał rumieniem... Baron Opern to na niego, to na gości patrzył nie wiedząc co to ma znaczyć.

— Prawdziwy cud, żeśmy tu na pana trafiły... chyba nas opatrność i przeczucie prowadziło — zawołała szybko doktorowa... Wszyscy pańscy przyjaciele szukają go po świecie... Skryłeś się umyślnie, aby ich niepokojem nabawić!

Teodor zszedł powoli ze wschodów ganka... uspokojony już i uśmiechnięty łagodnie.

— Prawdziwie, rzekł. żem na to współczucie nie

zasłużył... Ale wartoż mnie szukać... i po co mnie ztąd wyciągać?

— Czytałeś pan ogłoszenie w gazetach!

— Żadnego, bo gazet nie czytam—odparł Murmiński... przepraszam — jedną, ogrodniczą... To mówiąc uśmiechnął się. Ale cóż mnie tyżącego się mogło być w nich.

— Bardzo dla pana ważna wiadomość, przerwała Tola—profesor Kudelka, który kupił książki po zmarłym prałacie Zaklice, znalazł w nich powierzone mu przez nieboszczkę matkę pana... kopertę do niego zaadresowaną. Jest to jej testament i legat...

— Mojej matki! powtórzył Teodor — ale ja... matki nie znałem... mógłem ją tylko przeczuwać...

— Prezesowa jako żona ojca waszego i wasza matka podpisała się na tym depozycie.

— Gdzież on jest? u Kudelki? zapytał mimowolnie wzruszony Murmiński.

— Profesor obawiając się jakiej napaści, przypadku, powierzył go mnie... Jest tu... wskazała ręką Tola na bielejący dom w Kaliskach... Przyjeżdżaj go pan odebrać.

Baron Opern. który słowa po polsku nie rozumiał. patrzył na żywo rozmawiających i po twarzach ich tylko czytał. domyslał się jakiegoś nadzwyczajnego spotkania.

Doktorowa podjęła mu się to wytłumaczyć.

Teodor stał trąc czoło rękami. jakby się ze snu chciał przebudzić.

— Pan jesteś przyrodnim bratem prezesa! dodała Tola...

— A! pani, zawołał Teodor, to mi najmuiej czyni

honoru i przyjemności, lecz jestem synem zacnej. dobrej, świętej kobiety, która dla mnie ucierpiała wiele, i dla której pamięci — ciężar tego spadku przyjąć jestem obowiązany.

— Kochany baronie—rzekł po niemiecku zwracając się ku niemu i wyciągając doń rękę — bardzo się lękam, żebyś nie stracił ogrodnika, ale przyjaciela wdzięcznego nie stracisz we mnie nigdy!

Musiano znów Opernowi tłumaczyć całą tę zawiłą historję.

— A widzisz Tolo kochana, przerwała śmiejąc się doktorowa, że czasem natrętną i ciekawą jak ja być —na coś się przydać może... Lecz czyż podobna panie Teodorze, abyś patrząc ztąd co dzień na dwór w Kalisku, nie spytał o to, do kogo on należy i nie wiedział o Toli. a jeśliś wiedział o niej...

Teodor z wyrazem szczerości położył rękę na piersiach.

— Trudno temu uwierzyć — zawołał. ale ja o tem nie wiedziałem.—Winą moją, żem nie przeczuł.--Mówiono mi zawsze o dzierżawcy majątku nigdy o dziecizce, bo w ogóle nie dopytywałem o nic, chciałem się zanurzyć cały w tym ogrodzie i żyć nim i dla niego, a o całym świecie zapomnieć...

— Panie Teodorze — odezwała się Tola — profesor Kudelka znalazłszy w brewiarzu kopertę na całą noc przyleciał do mnie, tak się lękał o nią... teraz ja bać się będę jeśli pan jej dziś jeszcze nie weźmiesz ode mnie. Prezes z ogłoszenia w gazecie wie o niej—może się domysleć u kogo jest złożoną... a ja... boję się prezesa.

— Ja się go dziś nie lękam! zawołał Murmiński —

pamięć matki każe mi się starać o odzyskanie należnego w świecie stanowiska. Ojciec... którego może wynajdę.

Doktorowa z Tolą spojrzały tylko po sobie, ale w tej chwili nie chciały mu jeszcze powiedzieć o ojcu.

— Będiesz pan dziś u mnie! dodała Tola. Teodor się skłonił.— Będę pani...

— Jedźmy więc—zawołała—ogród już nas nie zajmuje — choć doprawdy bardzo ładny. Lecz zkądże panu ta ogrodów miłość?

— A! pani, coś w życiu kochać trzeba, lub umrzeć — rzekł Teodor — wybrałem kwiatki, bo one ciągle i życie i śmierć i los nasz przypominają, a są najwdzięczniejszą istotą w całym stworzeniu.

— Mnie się zdaje, że przez kwiatki pan się powoli i z ludźmi pogodzisz — dodała doktorowa.

Rozmawiając tak doszli do dziedzińca. Baron Operr zapraszał na podwieczorek, ale odmówić mu musiały. Tola dopiero usiadłszy do powozu, rzuciwszy się w głąb jego, odetchnęła swobodniej. Wzruszona sciskała swą towarzyszkę nie mówiąc słowa i łzy płynęły po twarzy... Prawie nie przemówiwszy do siebie dojechały do Kaliska. Tola pozostała zamysloną i milczącą, doktorowa za to niezmiernie ożywioną z góry obmyślała plan kampanji przeciwko prezesowi, z którym się jeszcze bez walki obejść nie mogło.

Siedząc w ganku oczekiwały aż do zmroku na Murmińskiego. — Zmierzchało już gdy kłus konia dał się słyszeć w dziedzińcu i Teodor wszedł w tem samym skromnem ubraniu, w jakim go panie u barona widziały.

— Przebaczy mi pani. rzekł w progu, że się tak stawię po ogrodniczemu. Dwa lata nie ruszałem się nigdzie z tego domku. nikt mnie nie widział, ja nie widywałem nikogo... otwarcie powiem, nie mam się w co ubrać.

— Dajże pokój i nie mów o tem! przerwała doktorowa—siadaj.

Tola z pod chusteczki, którą miała narzuconą na szyję, dobyła pakiet opieczętowany i położyła go przed Teodorem.

W oczach jego łyzy widać było i twarz mieniła się wzruszeniem. nie śmiał dotknąć tej spuścizny—patrzył na nią z poszanowaniem, jakby martwa dłoń z mogiły mu ją podawała.

— Za pozwoleniem—odezwała się doktorowa w położeniu pana — wszystko trzeba czynić z rozważą. Czy nie stósowniejby było złożyć ten legat w sądzie i prosić o świadków urzędowych przy rozpieczętowaniu?

Tego ja rozstrzygnąć nie potrafię — odparł Teodor — radbym ostatnie wyrazy mej matki jak najrychlej czytać—lecz... któż wie?...

Zawachał się...—Jam nie prawnik... ale koperta adresowana jest do mnie... bądź co bądź, naprzód ja wolę matki znać muszę.

Tola patrzyła z daleka blada i równie jak on poruszona.

Teodor z poszanowaniem rozciął papier nie naruszając pieczęci.—

Zawierał on na osobnym papierze kilkanaście słów pożegnania i błogosławieństwa podyktowanych księdzu Zaklice... podpisanych ręką umierającej i po-

świadczonych przez prałata i plenipotentą.. Ten ostatni żył jeszcze.—

W paczku była wierzytelna kopia metryki ślubu i chrztu Teodora, taka sama jaką drugą spalił prezes wydarlszy doktorowej naostatku gotowemi papierami rządowemi 50.000 talarów, które prezesowa z własnego majątku wydzielala synowi. prosząc go, aby o nic więcej u rodziny się nie upominał. Prośba ta była rozkazem...

Teodor odczytawszy papiery złożył je na stoliku i głęboko się zatopił w myślach, jakby się modlił do ducha matki, która w ostatniej życia godzinie o nim nie zapomniła.

— Jeżeli która z pań, łaskawą jest dla mnie, rzekł — proszę niech mi odbierze te pieniądze i przechowają... nie będę wiedział co zrobić z niemi.

Tola wyciągnęła rękę po nie. Teodor się skłonił dziękując.

— Jutro odezwał się, muszę jechać, abym pocziwemu podziękował Kudełce... i—urzędownie upomniął się o prawo swoje...

— Gdybyś się starej babie towarzyszyć nie wzdrygał—śmiejąc się wtrąciła doktorowa, jabym waćpana zabrała, bo i ja pojedę jutro, a kto wie — jeśli przyjdzie do wojny z prezesem. możebyśmy się mu i na co przydała...

Tola milcząca pomogła pani Teresie do rozdania herbaty; kiedy niekiedy oczy jej spotykały się z Teodora wzrokiem i oboje nie unikali siebie, jak przy ostatniem owem spotkaniu.

— Zmieniles się pan na lepsze—poczęła doktorowa,

z otwartością sobie właściwą — bardzo mi się podobasz. —

— Ostygłem trochę—odżywiła mnie praca, odezwał się na to Teodor — stworzyłem sobie sztucznie cel życia i w duszę zawitał spokój jakiego nigdy nie doznawałem. Ten czas, który spędziłem tam wśród tych szklarni—drzew, kwiatów, na wieczornych rozmowach z człowiekiem ostyglejszym odemnie, lepiej może pojmującym życie — był dla mnie jakby chwilą upamiętania i pokuty... jakby nowicjatem poprawy... Mogę powiedzieć żem dzielnego w sobie zwyciężył człowieka.

Po długiej w noc rozmowie—Teodor odjechał do Barona, a nazajutrz razem z doktorową ruszyli do miasta.

Od chwili gdy Kudelka ogłoszenie w gazetach umieścił, i od ostatniej z nim rozmowy — prezes chodził jakby wewnętrzną gorączką trawiony. — Z tych trosk nie zwykł się był spowiadać żonie—ale oko pani Żulietty odgadywało z twarzy ponurej męża, z jego przechadzek po pokoju milczących. z długiego czuwania po nocach. że mu jakaś bolesć dolegała wewnętrzna. Stosunek małżonków do siebie nie dozwalał jej rozpytywać go—wiedziała dobrze, że przed nią do niczegoby się nie przyznał—i że uprosić na nim wyznanie było niepodobieństwem.

Obcy nawet postrzegli zmianę o dostojnym panu, który zwykle jednostajnie pogodną a raczej chłodną i obojętną fizjognomią, nie podlegał ani chmurnym zaćmieniom, ani słonecznym blaskom — powszechną obudzał admirację. Nikt jak on nie umiał być nieprzekniknionym i zamkniętym. Musiał więc mieć brzemię

nadzwyczajne na duszy. jeśli jego ciężar stawał się widocznym.—

Odgadnąć było łatwo dla obcych przyczynę zmartwienia—czytano bowiem i komentowano powszechnie owe ogłoszenie i przypomniano sobie owo powiedzenie ks. Salvianiego przy obiedzie i zaprzeczenie prezesa... Jedna żona była w zupełnej nieświadomości wszystkiego, gdyż prezes starannie przed nią taił to, i pilnował, aby numer dziennika do niej się nie dostał.

Chociaż sam biegły w prawie — drugiego zaraz dnia po rozmowie z Kudelką prezes udał się do zaufanego adwokata, doktora praw. pana Fryderyka Obst'a. Wierzył bowiem więcej w cudzoziemca i mniej go on niż rodak. przed którymby się spowiadać musiał — obchodził. — Dr. Obst był jurystą praktycznym bardzo biegłym w prawie. a zupełnie obojętnym na rzeczy sumienia. Moralne znaczenie sprawy nie obchodziło go wcale, i dla klientów był tem dogodny, iż nigdy się do ich uczciwości nie odwołał, uważając ją za rzecz prywatną—do której spraw mu się mieszać nie wypadało.—

Chłodny — grzeczny, mało mówny dr. Obst był rzeczywiście machiną do spraw tylko, ale dobrze zbudowaną i młocącą procesa jak młóckarnie wybijają zboże. — Wymłacał też starannie kieszenie swych klientów, a napełniał swoją. — Z dr. Obstem prezes miewał częste i liczne stosunki — ale nigdy we własnych sprawach. Zdziwił się niepomalu Niemiec, gdy go ujrzał w gabinecie i posadziwszy na kanapie, dowiedział się z bladych ust, cichym głosem wyrzeczonej zapowiedzi, że chce jego rady zasięgnąć w interesie prywatnym. który dyskrecji jego powierza. Dr.

Obst liczący kwadranse konsultacji bardzo troskliwie, czekał potem dobrych minut kilka nim prezes mówić zaczął...

— Żądam rady pana w sprawie tak delikatnej, tak trudnej, iż samo zwierzenie mu jej, możesz pan uważać za dowód zaufania — rzekł po długiem milczeniu. Są czasem tajemnice familijne, które konieczność tylko odsłonić zmusza, choć się człek rumieni przyznając do nich.—Słyszałeś pan co o ogłoszeniu? dodał.

Dr. Obst potrząsł głową—nie nie wiem.

— Znałeś pan nieboszczkę matkę moją? zapytał prezes.

— Nie byłem tu jeszcze, gdy zmarła.

— Doszło co pana o niej, o nas...

— Nie mam czasu słuchać historii prywatnych — rzekł Obst.

— Będę więc zmuszonym mówić z panem otwarcie.

— Proszę—inaczejbym rady dać nie umiał.

— Ojciec mój odmarł mnie małym chłopięciem — mówił prezes z pewnem wzruszeniem — matka moja w dosyć młodym jeszcze wieku owdowiała. — Do mnie potrzebowała guwenera. Następczo jej człowieka, który najpodstępniejszym sposobem starał się wkraść w jej serce. zaufanie. — potrafił się podobać. Ciężko mówić synowi o nieżyjącej matce. Już naówczas familia dostrzegała w niej oznaków osłabienia umysłowego, skutków ciężkich newralgji, jakie znosiła. Jeśli dała się najniebezpieczniejszymi środkami skłonić do ślubu z guwenerem, do którego ją ten niegodziwiec zmusił, można to przypisać nieszczęśliwemu stanowi jej umysłu.

Nie wierzę ja w ten ślub, ale mówią, że ślub od-

był się za granicą, w tym kraju, gdzie wszystko jest możliwem—we Włoszech. — Przyszedł na świat syn... Po powrocie mej matki do kraju rodzina jej i nasza, zasłyszawszy o tem, przerażona—wszelkiemi możliwemi środkami starała się ją skłonić do wyrzeczenia się i zaparcia ślubów uwłaczających sławie naszego imienia i domu. Uległszy przecie tym prośbom... matka moja nie ogłosiła małżeństwa, dziecko się wychowywało jako sierota przybrana...

Tymczasem nieprzyjaciele nasi, intryganci, ludzie chciwi naszego majątku i upodlenia dobywają jakies dowody tego ślubu... testamenta, metryki... Ja się muszę bronić, ja będę bronił do ostatka sławy domu.

To są fałszerstwa... Zresztą wiadomy wszystkim stan umysłu matki mojej.

— Czy był on przez doktorów poświadczonym nrzędownie? spytał dr. Obst.

— Miarkujesz pan, że tegośmy też unikali kryjąc nieszczęście nasze, rzekł prezes.

— A jakże dziś się do tego odwołać możecie?

Prezes westchnął.

— Dowody—świadcstwa lekarzy—wyjąknął—dały by się znaleźć—tak sądzę.

Spojrzeni sobie w oczy.

— Zapewne—byłoby dobrze, gdyby się znalazły...

— Na ten czas sądzę—dodał prezes, że i ślub byłby uznany nieważnym, — i —

— Za pozwoleniem—przerwał dr. Obst — nie wiem prawdziwie, jak prawo kanoniczne rzymskie w takich razach rozstrzyga... ale że kościół katolicki kapłanowi, który ślub dawał, więcej wierzy niż nawet leka-

rzom, a osłabienie i obłąkanie umysłowe, bywa tego rodzaju, iż miewa *intervala lucida*.

Prezes zachmurzył twarz—zamilkł.

— Dokumenta muszą być pofalszowane... rzekł z cicha—w to bić należy.

— Można, potwierdził prawnik — i ze wszech miar lepiej. W takim razie dziecię matki pańskiej byłoby nielegalnem...

Prezes się zaczerwienił.

— Chciałbym dowieść, że to jest podrzutek, którego ona, przy swym stanie umysłowym, nawykła uważać za dziecię własne—choć ono niem nie było.

— Trzeba by na to dowodów...

— Chciwość tych ludzi.

— Czy domagają się czego?

— Dotąd nic... lecz mam posądzenie, że ze słabomyślności mej matki korzystali i postarali się o pochwycenie znacznego kapitału...

W ten sposób zaczęły się narady.

Dr. Obst badał znakomicie i surowo bardzo. — Prezes się pocił, męczył. — stękał, odpowiadał i znać było, że tylko ostatnia konieczność wymódz na nim mogła tak bolesne zeznania. Konferencja trwała godzinę. — Gdy się wyczerpały pytania i odpowiedzi, Dr. Obst siedział długo zamysłony, bawiąc się nożem od papieru i gryząc koniec jego w ustach.

— Cóż pan mówi? zapytał prezes

— Że sprawa w każdym razie niesłuchanie jest zakwikana i do przeprowadzenia trudna. Macie panowie za sobą to, że małżeństwo prezesowej nigdy w kraju ogłoszonem nie było... możecie mieć świadectwo do-

ktorów... Lecz bądź co bądź ścierając jedną planę. ro-
bicie drugą nieuchronnie.

Jakże dziś dowieść podrzucenie dziecięcia...

— A gdybyśmy znaleźli człowieka, który towarzy-
szył w podróży matce i zeznałby pod przysięgą, iż
dziecię było kupione i podrzucone?

Ostatnie słowa prezes wymówił cicho, niewyra-
źnie, głosem zmienionym i drżącym.

— A rozgłos takiego procesu?

— Jeśli będzie nieuniknionym...

Zamilkli oba.

— Ułóż to pan jak mu się podoba — rzekł prezes
wstając — do mnie należy dostarczyć materiałów. Je-
śli się znajdzie człowiek, co będzie śmiał mianować
się mym bratem, do ostatka opierać się muszę i będę.

Dr. Obst zdającego się zmierzać ku drzwiom
wstrzymał grzecznie, ujmując za rękę.

— Panie Prezesie — rzekł zimno — dla mnie jako
prawnika, wierząc pan. zawikłany, zajmujący, cieka-
wy, tajemniczy proces, złożony z takich żywiołów.
jakie się tu przedstawiają — byłby prawdziwem do-
brodziejstwem, jako adwokat tylko pragnąc go mo-
gę. Jest to rzecz bardzo piękna, jest to jak dla me-
dyka znakomity wypadek szczególnie rozwiniętej
choroby. Takiej sprawy starczy, aby człowieka uczy-
nić sławnym. Wszystkie dzienniki będą o niej pisać.
Inaczej się rzecz ma z osobami w sprawie działaj-
cemi. Przeciwna strona nie ma nic do stracenia,
a wiele do zyskania. pan zaś z pozycją, jaką zaj-
mujesz w świecie, zdaje mi się, że dobrzebys pomy-
śleć powiniem, niżeli rozpoczniesz.

Są przecież środki inne, łagodniejsze. a przynajmniej nie tak rozgłosne i jawne.

To mówiąc Dr. Obst, który tabakę zażywał, wziął tabakierkę ze stolika i spoglądając z pod okularów na klienta, czekał odpowiedzi.

Prezes ode drzwi się zawrócił nic nie mówiąc, padł na kanapę obiema rękami podpierając się na siedzeniu, patrzył w okno zadumany.

Uwagi są słuszne — odezwał się jakby złamany niemi — bardzo trafne, ale cóż począć? co począć!

— A! mój Boże — przerwał Dr. Obst przechadzając się zwolna. Napomknąłem panu, że są przecież środki mniej rozgłosne. cichsze, a wybór ich już od pana zależy.—Dla mnie lepszyby był proces głośny, dla szanownego pana z pewnością nie.

— Trzeba się bronić—napaści—mówił prezes.

— Lecz, szanowny panie, dorzucił Dr. Obst—o ile ja mogłem wyrozumieć rzeczy. choćbyście państwo w końcu potrafili się nawet obronić, zostanie zawsze cień wątpliwości. To wypływa z natury rzeczy. Rodzina można przeciwko ubogim ludziom. choćby miała słuszość jawną. zawsze zostanie w podejrzeniu ucisku. przy środkach jakie posiada. Z tych wszystkich względów jeszcze raz powtarzam. dobrze się rozmyśleć należy.

Prezes zmilczał.

— A więc — rozmyśle się — rzekł podając rękę adwokatowi — a tymczasem zostać to powinno między nami.

— Adwokat jak doktor ma obowiązek milczenia

— kłaniając się dodał Dr. Obst, który spojrzał na zegar, ażeby wiedział jak uaradę ocenić.

Ze zwieszoną głową wyszedł prezes od niego. Dotąd całą sprawę sam wedle swej myśli chciał prowadzić, nikogo nie przypuszczając i nie wtajemniczając w swe zamiary.—Teraz zaczynał miarkować. iż rodzinę swą, równie jak on interesowaną w procesie, należało wezwać dla narady. Nie chciał jej wszakże czynić zbyt głośną i dla tego listy do najbliższych krewnych rozpisał, zapraszając ich nie do miasta, lecz do wiejskiego swego majątku.

Gdy Teodor Murmiński przybył z panią doktorową do miasta—prezesa nie było, właśnie wyjechał do domu żonę i rodzinę zostawiając. Spodziewano się go wkrótce z powrotem.

Miał więc czas odetchnąć i obmyśleć jak mu postąpić należy.—Najpierw pobiegł do Kudelki. którego zastał, jak zwykle. w książkach zatopionego.

Stary uściskał go serdecznie.

— Już tedy teraz, zawołał—wszystkie biedy skończone, a widzisz. niegodziwce ty jakiś, a widzisz jak nigdy rozpaczać się nie godzi! No — a gdybym ja tam wówczas nie był!! Składa się jak najpiękniej, imię. dziedzictwo i przyszłość jasna i spokojna... Dzięki Bogu!

Teodor uśmiechał się... ale smutnie...

— Oto masz ten brewiarz który losy twoje tak długo w sobie chronił—zawołał pokazując mu księgę... Ks. prałat był bardzo rozumny człowiek. co miał najdroższego chował w książkach... Dowiedziona rzecz, że to najbezpieczniejsze... naprzód nikt się

na książki nie łakomi — powtóre, rzadko je kto otwiera...

Po krótkiej pogadance poszli razem do doktorowej, która na nich z herbatą czekać miała. Tu się dopiero dowiedział Teodor o prawdopodobnej śmierci ojca i papierach, które po nim wręczono doktorowej — i jak prezes z niemi postąpił.

Oburzyło to Murmińskiego do najwyższego stopnia. a los ojca wycisnął mu łzy gorzkie. Zaraz nazajutrz postanowił iść do szpitala, aby się tam lepiej rozpytać i dosledzić, w jaki sposób papiery te dostały się kobiecie i czy przy nich nic więcej nie było. Doktorowa jednak powstrzymała go, lękając się narazie uczciwą swą służbę na odpowiedzialność przed mężem, która by jej całe życie mogła ciążyć. — Nazajutrz rano poszli razem...

Ekonom i panna Hilarja opowiedzieli o owym starym człowieku... musiano pokazać rzeczy po nim pozostałe... Teodor poznał w nich niektóre stare odzieże dawniej widziane na ojcu... Na numerze *Giornale di Roma*. stało ołówkiem zapisane nazwisko i znany adres domu, w którym długo prze-mieszkiwał. Nie było więc wątpliwości, iż stary życie tu skończył. — wskazano nawet świeżą jeszcze mogiłę, która zwłoki pokryła - a Teodor miał nadzieję, iż wyrobi pozwolenie exhumacji i nowego przysłannego pogrzebu.

Wiść o przybyciu Murmińskiego i nowych jego losach, wprędce się rozeszła po mieście. profesor który znał dobrze ludzi nie omieszkiał powierzać na ucho wszystkim, iż znaczny otrzymał legat i jest teraz człowiekiem bardzo zamożnym.. Nic tak serc

nie pozyskuje jak podobna wiadomość, nie nie od-
strecza bardziej nad samo posądzenie, iż ktoś jest
w położeniu mogącym wymagać pomocy. — Starzy
koledzy i znajomi, którzyby nigdy Murmińskiego nie
szukali. teraz się garneli do niego i odnawiali da-
wne stosunki — ofiarowali usługi. — Zwierzęcy jakiś
instynkt paskudny odpędza człowieka od niedoli
i cierpienia.

Przez parę dni prezesa nie było.

Nie powracał—Murmiński zajął sobie w kamie-
nicy Kudełki pokój na trzeciem piętrze dawniejszy
i żył cicho a skromnie. nie pewien jeszcze co z so-
bą pocnie. Wszystko zależało od postanowienia
prezesa i jego postępowania. Ze wszystkiego jednak
wnosząc można się było spodziewać wystąpienia
gwałtownego i procesu.

Ale dni kilka spłynęło w ciszy—jak przed bu-
rzą.

Jeszcze o powrocie prezesa nie wiedziano w mie-
ście. gdy — jednego ranka, o godzinie wczesnej słu-
żący zameldował doktorowej. iż prosi. aby się z nią
mógł widzieć i rozmówić. Doktorowa była tak jesz-
cze rozgniewana i obrażona. iż wcale go znać nie
chciała, namyśliła się jednak. iż może przybywać
z chęcią zgody lub zadość uczynienia — i kazała
prosić.

Cała blada i drżąca przyjęła go w progu sa-
lonu.

— Nie spodziewałam się pana u mnie widzieć,
rzekła. i podziwiam jego odwagę.

Milczący i blady wszedł gość, pozdrawiając ją.

lekkim głowy skinieniem. obejrzał się ostrożnie za siebie. a nie widząc nikogo. począł pół głosem.

— Kuzynka jesteś nadto dobrą chrześcianką. ażebyś mi przebaczyć nie miała—jeśli jej chybiłem. Są chwile w życiu, gdy człowiek sobą nie włada. Mogłem pobiłdzić. ale gdy czuję winę. chętnie ją naprawiam.

Wielce zdumiona gospodyni nie umiała na nią odpowiedzieć.

— Jesteś pani krewną naszą, masz dla rodziny pewne obowiązki. ani my się ich też ku niej nie zapieramy.

Bądź co bądź. tę nieprzyjemną, gorzką, pamięci mojej matki uwłaczającą historję, chciałbym skończyć zgodnie i bez niczyjej krzywdy.

Dowiedziałem się tu. że pan Teodor się znalazł... chcę... chcę się z nim widzieć, pomówić—jeśli można przejednać. Czynię kroki z mej strony do zgody. Odmówisz mi pani pośrednictwa?

— Nie. odpowiedziała doktorowa, badawczo patrząc mu w oczy—ale za skutek ręczyć nie mogę.

— Gdy pani zechcesz—potrafisz to—rzekł prezes. O cóż idzie. abyśmy się w neutralnem miejscu zejsć mogli i pomówić.

— Tak, jest to rzecz bardzo prosta. odezwała się gospodyni — nie przeczę, ale daruj mi prezesie, po ostatniem twem znalezieniu się u mnie nie powinienś się dziwić, iż ostrożni być musimy.

Na twarzy przybyłego ukazał się i znikł rumieniec gniewu i niecierpliwości.

— Zmiłuj się pani. zawołał — przecież mu nic nie grozi — życia mu nie odbiorę, papierów swych brać

nie potrzebuję. Pragnę zgody—może ona i dla niego być korzystną.

— Kiedyż z nim się chcesz widzieć?

— Jak najprędzej—odezwał się prezes — chcę zachodzące między nami okoliczności załatwić co najrychlej, jeśli się one dadzą. Widzisz mnie pani uspokojonym i zrezygnowanym.

— Czy może być kto przytomnym spotkaniu? — spytała doktorowa.

— Po co? odparł prezes ironicznie—jabym się go więcej niż on mnie obawiać powinien.—Cóż mu grozi? na co nam świadkowie?

Chodził nie kładąc kapelusza po pokoju—stał i spojrzał na gospodynię.

— Mogę się więc spodziewać? dodał.

— Zrobię co mogę i dam znać panu prezesowi.

Przybyły skłonił się grzecznie.

— Prosiłbym, aby to mogło stać się jak najprędzej...

Posłuszna tej prośbie doktorowa natychmiast po wyjściu prezesa posłała nagle Teodora o przybycie... W godzinę był już u niej.

— Mam panu nie wiem już dobrą czy złą do zwiastowania, ale zawsze ciekawą nowinę.

— Cóż to być może? spokojnie rzekł Teodor.

— Przed godziną był prezes u mnie—dodała, prezes który nigdy w życiu nie miał przestąpić progu tego domu.—Żąda on—zgody—pragnie się tu u mnie zejść z panem i pomówić. Sam pierwszy robi krok do pojednania. Murmiński słuchał z razą zdziwiony, nie dowierzający, potem się rozśmiał.

— On! ze mną! pragnie zgody! zawołał — dziwnie to brzmi w moich uszach. Byłby to dowód, że sam czuje, iż mnie nie zwalczy. Ale kto zua człowieka to rzecz nie do pojęcia. Nie rozumiem — dorzucił — pojmuję. To chyba zdradą być musi.

— Ale jakimże sposobem?

— Powiedziałam pani że nie rozumiem. a obawiam się...

— Czyżbyś mógł się go lękać?

Teodor zamyslił się.

— Nad wyraz wszelki wstrętliwem będzie dla mnie spotkanie z człowiekiem. który mi tyle złego uczynił. w którym czuję nieprzyjaciela—który zmienić się dla mnie nie może.

— Zgody nigdy się odpychać nie godzi!

— Mamy się widzieć przy świadkach?

— Nie—sami.

— Kiedy? zapytał Marmiński.

— Jak najrychlej.

Teodor zadumał się. — Dobrze, rzekł — posyłaj pani po niego — jestem gotów—po cóż mamy odkładać. niech przyjdzie.

Doktorowa zdziwiła się nieco nagłemu postanowieniu. — Nie potrzebujesz się namyslać? rozważyć?

— Nie—wolę zrzucić z siebie to natychmiast, jestem przekonany. że to do niczego nie prowadzi...

To mówiąc rzucił się na krzesło Murmiński. załamał ręce i pozostał nieruchomy.

— Odłóżmy to do jutra—szepnęła ręki jego dotykając doktorowa. — Nie trzeba okazywać zbytniego

pośpiechu — miej czas do rozmyślenia, jak się z nim znajdziesz...

— Jak mi uczucie podyktuje — odparł Murmiński — lecz, jeśli pani chcesz do jutra... Zgadzą się.

Postanowiono tedy, że nazajutrz o godzinie dwunastej zejść się mają Murmiński z tą dziwną nowiną, pospieszył do Kudelki, który nie wiedział co sądzić. — Ba! rzekł po chwili — to tylko znaczy, że rozrachowali wszelkie prawdopodobieństwa — i wolą rzecz ubić nie czyniąc rozgłosu. — Waćpan powinien się mieć na baczności — ludzie są zręczni. a w wyborze środków nie przebiegają...

Tegoż wieczora przyjechała do miasta panna Tola; wprost z powozu wysiadłszy do doktorowej. — Od niej dowiedziała się o wielkiej nowinie. Zamiast radości sprawiła ona na niej wrażenie jakiegoś bolesnego — serce się ścisnęło. —

— Boję się, rzekła po cichu. —

— Ale czegożbyśmy się gorszego dlań lękać mogli?

— Nie wiem, lękam się od nich wszystkiego...

Doktorowa śmiejąc się ramionami ruszyła. — Tola zabawiła z godzinę u przyjaciółki — Dziś — odezwała się odchodząc — nie proszę was do siebie, ale jutro, gdy się odbędzie to straszne spotkanie... pozwól mi albo przybiedz do siebie, lub przyjsz do mnie...

Cały wieczór Murmiński spędził w swoim pokoiku z cygarem w ustach, na jakichś dumaniach nieokreślonych.

Biła godzina dwunasta na miejskim zegarze, gdy prezes wchodził na wschody mieszkania dokto-

rowej, Murmińskiego nie było jeszcze.—Pośpiech ten dowodził, jak bardzo pragnął, aby widzenie się przyszło do skutku.

Doktorowa go przyjęła znowu w przedpokoju...

— Idź pan do gabinetu za salonem—odezwała się witając go z daleka.—Drzwi zostaną otwarte, a wyjścia z niego żadnego nie ma, podsłuchanymi więc być nie możecie i będziecie całkiem swobodni. Idź pan. ja tu zostanę.

Nie nie mówiąc prezes bardzo blady, ale ubrany powagą wielką poszedł natychmiast do gabinetu—i nie rzucając kapelusza, stanął oparty o ów komin, w którym niedawno spalił papiery Murmińskich...

W dziesięć minut potem chód w salonie dał się słyszeć. Teodor dość spokojny zbliżył się do progu. Oczy dwóch zajadłych nieprzyjaciół spotkały się z wyrazem, w którym było więcej może ciekawości niż gniewu. Obaj usiłowali zbadać swe usposobienia. —

Gdy Murmiński próg przestąpił, prezes powolnie zbliżył się ku niemu...

— Panie Teodorze — rzekł głosem drżącym — sam pragnąłem widzenia się z nim... Okoliczności od nas nie zależące uczyniły nas nieprzyjaciółmi... dziś. pamięć tej, która i dla pana była matką winna zbliżyć nieprzyjaciół i wyjednać spokój jej cieniom...

Teodor milczał.

— Przynajmniej w tej chwili — odezwał się po długiej pauzie, ja wojny nie rozpoczynałem... Widzisz pan, że się na jego wezwanie stawiam...

Z kolei prezes długo zamilkł.—

— Uczyni pan zgodę i porozumienie możliwem — odezwał się nieśmiało.

— Czego pan żądasz od nas?

— Nie — rzekł Murmiński — prawa, jakie mam po matce, tych mi odebrać nie możecie — spadku po niej nie biorę, bo to co mi wydzieliła, odebrałem...

— Nie o to idzie — przerwał prezes — chciej mnie pan wysłuchać cierpliwie.—

— Bardzo chętnie.

— Położenie wielkich rodzin i imion historycznych jak nasze — mówił dalej z powagą prezes — nie łatwo bywa pojete w innych sferach. Mamy obowiązki szczególne, bo stoimy na świeczniku narodu... Nie boleśniejsem być nie może dla rodziny, jak poniżenie matki rodu... wyrzekającej się szanownego imienia dla drugich jakichś związków... upokarzających ze wszech względów...

— Rozumiem do czego pan zmierza — przerwał Teodor, lecz — darujesz — ja na tem stanowisku nie mogę stanąć, i rzeczy te inaczej zupełnie pojmuję. Dla mnie nazwiska wszystkich ludzi uczciwych są jednej wartości. Zasługi przodków miłą są spuścizną — lecz choć mniej cenione i widziane — mają i ubodzy i nieznani... także swą godność i zasługi.

— Nie wymagam od pana, abyś się wyrzekł swych demokratycznych idei — dodał prezes. lecz zwracam jego uwagę, że s. p. prezesowa sama musiała te rzeczy tak widzieć jak ja... jeśli swego drugiego małżeństwa — nie wchodzę w jakich warunkach zawartego. nie ogłaszała — tała się z niem.

— Uległa natrętnym prośbom rodziny — odpowiedział Teodor — lecz najlepszym dowodem. iż tej słabości wstydzila się, jest to, że testament, który mam

w rękę, ostatnia jego wola, ostatnie pismo do mnie --
nosi nazwisko mego ojca...

Prezes zaciął usta—drzał.—

— Pan masz tę wolę ostatnią? spytał.

— Odebrałem ją...

— Jakże ona pana doszła...?

— Sądzę, iż pan byłeś o tem uwiadomiony przez
profesora...

-- Mogę spytać, co panu zostawiła pani prezesowa?

Teodor wymienił summę odebraną.

— Masz więc pan zapewnioną przyszłość — mówił
prezes dalej—a godziż się, byś przez wdzięczność dla
kobiety, której winienesz wszystko, karał i mścił się
na jej rodzinie?

Nie przywieziesz pan żadnej wagi do stosunków
i nazwiska, dla czegoż byś miał opierać się przy tem,
by pochodzenia dowodzić, które mu jest obojętnem??
Na cienie tej kobiety, na jego miłość dla niej zakli-
nam pana... wyrzec się pan...

— Wierz mi pan—usiłując utrzymać spokój—ode-
zwał się Teodor — iż nie ma, czegobym dla matki nie
uczynił—nie rozumiem jednak, by ona mi się wyprzec
siebie kazała. Dla rodziny zaś, która mnie prześlado-
wała, która mi od kolebki dała uczuć tylko nienawiść
i wzgardę -- przez którą życie moje zostało zwichnię-
te—zatrute—nie mam najmniejszych obowiązków. —
Mogę się wyrzec zemsty — nie czuję się повинnym do
ofiary.—

— W imię matki — na pamięć jej! powtórzył pre-
zes—zbliżając się.

Teodor się cofnął.—

— Nie — tego, co się moim przekonaniom przeciwi, nie uczynię...

— O cóż idzie — dodał pierwszy — my nie wymagamy nic więcej nad to, byś testamentu nie głosił — by rzecz pozostała pokryta milczeniem. — Rodzina moja otwiera panu drzwi — ja pragnę przejednania, jeśli obraził, proszę o przebaczenie. — Co pan zyskujesz na tem, że nas dotkniesz boleśnie choćby w przesądach naszych, że uczynisz z nas nieprzyjaciół i wrogów...?—

— Chcesz pan więc, abym dla miłości waszej nosił na czole piętno jakiegoś wątpliwego pochodzenia i dla miłości matki, dla jej pamięci, okrył ją hańbą?

To mówiąc rozśmiał się Teodor.

— Przyznaję się, że tych idei i pojęć zupełnie nie rozumiem.

— Prezes chmurny cofnął się i stanął oparty o komin.

— Jesteśmy od kilkuset lat osiedli w kraju — rzekł z wolna — mamy stosunki przeważne, mamy siły, których pan nie lenisz, lecz które mu się w każdej chwili życia dać uczuć mogą; wyzywasz nas do walki, która niekoniecznie szczęśliwie dla pana wypaść może... Co zyskujesz na tem?

— Spełniam obowiązek — idę prostą drogą prawdy — odezwał się Teodor — nie widzę najmniejszego powodu, dla którego bym zrzekać się miał praw moich.

— My zrzeczenia się ich nie wymagamy, ale — przemilczenia — dodał prezes — ofiarujemy panu za to przyjaźń, pomoc, zgodę.

Teodor nie odpowiadał długo, usta jego bolesny uśmiech podnosił.

— Na szczerość tej przyjaźni, na skuteczność tej pomocy, na trwałość tej zgody, po tylu latach przesładowania, po tylu dowodach nienawiści nie mogę rachować—rzekł cierpko... pozostanmy sobie obcymi, to lepiej.

— Nie narzucamy mu się — odparł prezes — byleś pan milczał — będziemy mu wdzięczni.

— Nie mogę, dla pamięci matki.

— Dla pamięci matki!! powtórzył prezes. A gdybyś pan miał dowód, dowód niezaprzeczony, iż po wyjeździe ks. Jeremiego.—po napisaniu tej ostatniej woli, którą panu przesłała, na łożu śmierci, na kilka godzin przed skonaniem... żądała tego po panu, czego ja po nim wymagam??

— Gdzież jest ten dowód? zdumiony zapytał Teodor...

— Mamy jej wolę na piśmie; świadkami przy niej podpisani są ludzie żyjący, wiary godni, którzy pod przysięgą zeznają, iż dyktowała nieprzymuszona... z własnego popędu.

Teodor stał przybity.

— Ale gdzież ta wola jej ostatnia? zawołał.

Oto jest jej kopia — rzekł prezes dobywając papier z kieszeni.

Drżącemi rękami wzięwszy to pismo, Murminski zbliżył się ku oknu. Nie rychło wzruszenie czytać mu dozwoliło.

Dokument ten, w którym prezesowa wspominała głucho o powierzonym dla Teodora piśmie ks. Jeremiemu, był jakoby błaganiem ostatniem konającej.

— „Chciałam, aby Teodor wiedział, iż byłam matką jego ze krwi jak mnie znał matką sercem — lecz zaklinam go, ażeby dla mojego spokoju w grobie, dla oszczędzenia mi narzekań zamilczał o swem pochodzeniu i prawnie go nie dochodził. Dla tego wydzieliłam mu z mojego majątku com dlań przeznaczyła, aby mu dochodzenia oszczędzić i przykrych stosunków uniknąć. Niech Teodor wie, iż pod tym warunkiem błogosławię mu z łoża konania. Wszelkiego rozgłosu, sporu, procesów, przez którebym umarła jeszcze cierpieć musiała, zakazuję pod tem błogosławieństwem — a jeśliś mną była matką dobrą i czułą, niech mi się tem on wywdzięczy...”

Oczy Teodora łzami zaszkły, zamyslił się długo i posepnie. Czytał, odczytywał, poznawał w tem styl i sposób wyrażania się prezesowej, ale jej serca nie znajdował. Skazywała więc go sama na położenie dwuznaczne, na jakieś wygnanie i banicję ze społeczeństwa, na niepojęte milczenie, na załamanie kłamu samemu sobie. Nie pewien co począć, papier położył na stole, ręce na piersiach załamał, spuścił wzrok w ziemię — stał przybity i nieprzytomny.

Prezes patrzył nie odzywając się.

— Ten dokument możemy mu przedstawić w oryginale — dodał po chwili oczekiwania.

— Nie mam nic do odpowiedzi nań. złamanym głosem odezwał się Teodor — jeśli to było wolą matki, poszanuję ją; chociaż przekonany jestem, iż wymuszono na konającej nielitościwą natarczywością — to pismo, w którym ja jej nie poznaję. Zadano jej gwałt moralny, którego winą niech spadnie na tych, co się go dopuścili.

To mówiąc Murmiński wziął kapelusz ze stołu i nie patrząc już na prezesa, nie żegnając go. wyszedł powoli z pokoju.

W trzecim zastał doktorową, która w trwodze oczekiwała tu skutku tego spotkania. co chwila spodziewając się usłyszeć wrzawę i zajądłą walkę. Spojrzawszy na zbladłą twarz Teodora, który szedł jak pijany. poznała że coś niespodziewanego a niedobrego za się musiało .. nie śmiała go spytać. Podali sobie ręce Murmiński wyszedł.

W chwilę po nim ukazał się prezes — z twarzą wypogodzoną i tryumfującą.

— Dziękuję bardzo, szanownej kuzynce. za jej pośrednictwo — rzekł z lekkim ukłonem. Zdaje mi się, żeśmy się z p. Murmińskim porozumieli i unikniemy dla stron obu nieprzyjemnych ostateczności.

Mogę spytać jak się to stało?

— Nic prościejszego — odpowiedział zagadnięty — mieliśmy oddawna na ratunek w razie ostatnim wolę ś. p. prezesowej spisana przy świadkach, w której jest wyraźna wzmianka o tem. jak życzy sobie, by p. Teodor postąpił. Nawzajem wymogła na nas. abyśmy się przejednali. Zdaje się. że - że p. Teodor czego innego się spodziewał - dla tego odszedł. nie chcąc się porozumieć ze mną co do stosunków naszych. Pani raczy być moim tłumaczem i zapewnić go, że na naszą pomoc i — życzliwość liczyć może.

Słowa te tak jakoś brzmiały impertynencko, że doktorowa w imieniu protegowanego chciała na nie odpowiedzieć. iż ani pomocy ani życzliwości ich potrzebować nie będzie — wstrzymała się jednak i skłoniła tylko żegnając zdaleka.

Spodziewam się — dodał prezes — że teraz gdy wszystko jest szczęśliwie skończone i pani na nas będzie łaskawszą.

Nie czekając odpowiedzi prezes się uklonił i cicho, wolnym krokiem wysunął się z domu. Doktorowa wzięła na siebie obowiązek doniesienia Toli o zakończeniu sprawy i skutkach rozmowy — lecz nie czuła potrzeby się spieszyć.

Siadła w fotelu i na łzy się jej zebrało; miała jakies niedobre przeczucia. Nie poszła więc do przyjaciółki i kazała dać wiedzieć, że czeka na nią u siebie. Lecz zamiast Toli w pół godziny nadbiegła jej towarzyszka p. Teresa.

— Pani moja droga — poczęła od progu — jak kochasz Tolę, chodź do niej. Nie wiem co się stało — przed godziną przyjechał hrabia Maurycy zamknął się z nią na jakąś rozmowę... Tola siedzi teraz i płacze — a że ona płakać nie zwykła, musiało zajść coś niespodziewanego, coś bardzo nie dobrego.

Hrabia Maurycy był opiekunem panny Toli i dalekim jej krewnym. Nie mieszał się on wprawdzie ani do zarządu majątku, ani do jej postępowania — lecz podpis jego i zgoda była zawsze potrzebną, a Tola nawykła go była szanować.

Hrabia Maurycy był też z wielu względów poszanowania godnym — ale — ale tak prątycznie i teoretycznie skończonego arystokraty nawet w junkierskich zastępach niemieckich znaleźć było trudno. No — sił imię piękne, dosyć stare, godne ze wszech miar szacunku, lecz pojmował swą dostojność pańsko-szlachecką na sposób nie polski tylko cudzoziemski i kosmopolityczny. Polscy magnaci i szlachta wielką

przywiązywała wagę do swoich przywilejów, lecz widzieli w nich obowiązki—arystokracja europejska widzi w nich tylko prawa. Ta jest ogromna różnica między tem co w Polsce stanowiło stan szlachecki, a co w Europie bawiło się w heraldykę. Z zerwaniem zdrowych tradycji polskich w XVIII w. zmąciło się i to pojęcie nasze, które wygodniej było zastąpić europejskiem, nieskończenie przyjemniejszym do praktykowania. Była chwila gdyśmy w XVIII wieku widzieli już rozdwojone szlachectwo nasze na polskie stare i nowe europejskie. — Dwa te obozy już się nie rozumiały. Nasza szlachta ofiarna, pocziwa, rwała się do szabel i rzucała ostatnie ślubne pierścienie do skarboxy narodowej — kosmopolici kazali sobie płacić swe podpisy na aktach rozbiorowych.

Hrabia Maurycy. Zkąd inąd człowiek pocziwy był arystokratą, który się czuł wszędzie w domu, gdzie znalazł tylko herbownych. Był najpewniejszy, że niebieska krew płynie w jego żyłach, że arystokracja jest instytucją z łaski Bożej. że szlachta jest narodem wybranym, że plebeje służyć jej powinni, że dla niej stworzył Bóg światło. że ją wyznaczył do kierowania losami świata i że kto tę dostojność krwi otrzymał po przodkach, powinien ją zachować od zetknięcia z kastami parjasów, dorobkiewiczów i t. p. Był zresztą dla ludu litościwym panem (zawsze jednak panem), dobrym chrześcijaninem wedle pojęć średniowiecznych, przykładnym członkiem familji i dosyć gorliwym obywatelem, byle mu za pan brat nie kazano zasiadać z bezherbownymi i wspólnie z nimi pracować.—Człowiek najpiękniejszego wychowania, miły, uprzejmy, grzeczny, nigdy jeszcze ręki nie podał człowiekowi, nie-

przekonawszy się wprzód, czy ma do czynienia z szlachcicem...

Doktorowa ledwie narzuciwszy na siebie chustkę, pośpieszyła z panią Teresą do Toli.

W istocie znalazła ją chodzącą wielkimi krokami po pokoju z oczami zaczerwienionemi i mocno poruszoną.

Na widok przyjaciółki, ruszyła się udając uśmiech ale bez tej żywej ciekawości, jakiej się po niej spodziewać było można. Ścisnęła jej rękę...

— A cóż? zapytała obojętnie.

Doktorowa zmilczała. — Nie wiem doprawdy jak się skończyło — szepnęła po chwili. — Teodor wychodząc nic mi nie powiedział. — Prezes zapewniał, że się porozumieli. Ze smutku pierwszego, z wypogodzenia czoła prezesa wnoszę, iż dla Murmińskiego nie zbyt to pomyślnie wypaść musiało.

— Tegom się spodziewała! westchnęła Tola — inaczej być nie mogło. Miałam przeczucia najgorsze — niestety! sprawdziły się...

— Prezes dał mi do zrozumienia, iż wolę matki jego było — a woli tej na piśmie miała przekaz zostawić — ażeby Teodor się o swe prawa nie upominał.

Spuściwszy głowę na ręce Tola słuchała tych wyrazów jak wyroku na siebie samą...

— Zresztą prezes ofiaruje zgodę, przyjaźń — pojednanie...

— A zatem — dodała Tola z ironicznym uśmiechem — tout est pour le mieux dans le meilleur des mondes.

Gabinet p. prezesa był tak poważnie urządzonym, iż po nim jednym można się było domysleć człowieka, który do zewnętrznych form życia nadzwyczaj wielką przywiązywał wagę. — Wszystko tu było w obmyślanym starannie utrzymywane porządku, i ukazywało się z tej strony, z której na widzu najkorzystniejsze mogło uczynić wrażenie.

Na wspaniałem Bureau-ministre, nie walał się żaden niepotrzebny papieru szczątek. Każda rzecz miała miejsce swoje. Papiery wspaniałemi przyręczkami leżały okryte, kalamarz starannie zamknięty, pióra otarte, odrobinki pyłu na niczem.

W wielkich dwóch szafach stały księgi oprawne pięknie, po większej części prawnicze, kodeksa, komentarze, zbiory. — Nic płóczego nie bawiło oka, fotele nawet miały uroczystą tizjognomię sędziowskich krzeseł, a kanapa mogła by była zająć miejsce w biurze kanclerza w gmachu parlamentu w Londynie. Wyraźnie starano się poważnego męża oprawić w równie majestatyczne sprzęty. Zegar ze stojącą na nim Paladą, barometr bez ozdób, termometr skromny ale przyzwoity... należały do przyozdobienia pokoju pracy. Dwa obrazy w złożonych ramach wystawiały dwa komunały pejzażowe wielkiego stylu z drzewami wachlarzowatemi i świątyniami o portykach i kolumnadach wspaniałych.

Wśród tych sprzętów, potracając niekiedy o nie przechadzał się nad wieczorem dostojny pan. uspokojony, poważny, ale jak morze po długiej burzy przechodzące do spoczynku. na którem znać jeszcze, że niem fale niedawno miały

W domu była cisza zupełna. gdyż od pokojów pani i dzieci oddzielały gabinet — salon pusty i pokój mniejszy do apartamentów pani należący. — Goście przychodzący do samego prezesa. wchodzili wprost drzwiami z sieni do gabinetu prowadzającymi. — Właśnie w czasie przechadzki. o której wspomnieliśmy, drzwi te otworzył służący meldując hrabiego Maurycego, który też za nim wsunął się do pokoju. Gospodarz i gość podali sobie ręce

Hr. Maurycy był nie młodym już człowiekiem. ale wyglądał jeszcze świeżo zdrowo i wcale wiekiem nie złamany. Włos tylko przerzedzony i posiwiały starszym go czynił. Słusznego wzrostu. szerokich ramion. piersi wypukłych. hr. Maurycy przedstawiał jeden z typów arystokratycznych najpiękniejszych. Twarz miał burbońską, czoło wyniosłe. oczy oprawne przepysznie, nos orli, usta male, a cały charakter postaci wydawał potomka wielkiej rodziny. Chociaż poważny jak prezes, swobodniejszym był w ruchach i weselszego wyrazu.

Prezes podsunął mu fotel i sam zasiadł naprzeciw niego.

— Widziałem się z nią — szepnął hr. Maurycy. i jak przewidywałem. chociaż mi się nie przyznaje do żadnych przechowanych uczuć i do żadnych odnowionych projektów, trudno nie poznać po niej, że — li-

tość i miłość zarazem przywiązują ją do tego awanturnika.

— Byłoby to prawdziwą klęską dla nas, dla prowincji — odezwał się prezes — hrabia to pojmujesz łatwo. Inię panny. majątek. który mężowi musi dać wpływ i znaczenie, i do tego... przeszłość takiego jegomości, demokratyczne popędy... propaganda tych nieszczęsnych zasad... jakimkolwiek bądź kosztem należy tego unikać.

— Zdaje się. że musiał oddziaływać na nią, przerwał hr. Maurycy — nie żałowałem barw malując jej przeszłość wedle skazówek waszych. Bądź co bądź, choćby z przewróconą głową, ona jest zawsze osobą naszego towarzystwa — on zaś — nieprzyjacielem... Do obozu go wpuścić piękna rzecz! Wystawiłem jej całą szkaradę tego mezaliansu, całe jego niepodobieństwo, niemożliwość.

Przyznam ci się prezesie, że mi nie łatwo przyszło znaleźć pretekst do tej przestrogi. De but en blanc. porwać się na to czego dowieść nie można — byłoby śmiesznością. Czekałem okazji — dała mi sama zrzeczność. Wyciągnąłem z niej opowiadanie o panu Teodorze i assumpt był gotowy.

Możesz mi wierzyć, że byłem inspirowany, wymowny, rozczulający. Tola jest dosyć zimna, a jednakże w końcu aż się pogniewała i spłakała.

— Aleć jej hrabia wszystko powiedział?

— Spodziewam się — il le fallait bien. Zacząłem od tego, że się przyznał. iż mnie obawa o nią i wieść o nowem zjawieniu się Murmińskiego przynęcały tutaj. Powiedziałem jej potem otwarcie o jego przeszłości, o tych wszystkich donkiszoterjach, awan-

turach, szalach i rozpustach kawalera. posługując się tem co wyście mnie udzielili.

Dodałem, iż dokument ostatni matki widziałem u was. którym mu ona zakazuje jakichbądź praw się dopominać. że więc pozostanie jakimś przybłądą, synem nie wiedzieć z kąd wyszłego guwernera, zmarłego w nędzy w szpitalu.

— O! możesz mi wierzyć — dodał hrabia, byłem wymowny, bom był poruszony. bo mnie oburza sama myśl, żeby ta pocziwa nasza krew szlachecka mieszała się z niewiedzieć jakich proletaryuszów krwią, bo tego człowieka nawet pochodzenie bardzo niepewne; wątpię, czy Murmińscy jacy w herbarzu byli zapisani. albo to wyszło z chaty, albo ze sklepu. albo co gorzej z wychrztów. I mielibyśmy potem jako męża Toli przyjmować go w salonach, sadzać n stołu a bratać się z jegomością!! Ba! ba!

— Czy panna się do swej słabości przyznała? zapytał prezes.

— Nie — odparł hrabia — zapewniała mnie, że ma wielką litość nad nieszczęśliwym. że się czuje w obowiązku opuszczonemu pomagać, ale — nic więcej.

— Nic więcej! rozśmiał się prezes — allons donc! Doktorowa i ona latały za jego interesami. rozczulały się; rozpadały... i ten stary głupiec Kudelka. Donoszono mi, że Tola okazywała mu widocznie czułość, że go szukała pierwsza.

— O ile ja z jej postawy i mowy miarkować mogę — dodał hrabia — sędzę, że rachowała na to, iż się p. Teodor wywiedzie jako wasz brat przyrodni, naówczas uzyskalby pewną pozycję w świecie.

Wszystko to dobre — zakończył gospodarz — lecz — trzeba się mieć na baczności. — Najszczęśliwszem byłoby gdyby go można zniewolić do opuszczenia prowincji — do przeniesienia się gdzieindziej.

— To wasza rzecz — przerwał hrabia — ja około mej ppili kilka jeszcze dni czuwać będę i starać się jej przedstawić, że stosunek nawet z panem Teodorem, jakkolwiek usprawiedliwiony dawną znajomością — dla niej jest nieprzyzwoitym. — Prezes masz w ręku środki przynaglenia go, aby się oddalił...

— Tak — ale zbyt pospieszenie użyć ich nie mogę, byłoby to nadto widocznem... Ciekawym jak się znajdzie względem mnie — ja, przyjmować go nawet, jestem zmuszony...

— Wątpię, by z tego korzystał... rzekł hrabia.

Opowiedzieliście panie Toli to com wam mówił o jego sprawach w Algierze, w Anglii... mam to z najlepszych źródeł.

— Mówię wam, że nie szczędziłem kolorytu... rzekł hr. Maurycy.

Ścisnęli się za ręce.

— Gdybym był na waszem miejscu — dodał gość, kazałbym go pilnować tak, żeby mi każdy jego krok był wiadomy.. Zorjentujesz się potem łatwiej co począć.

Prezes nie odpowiadając usty, dał znak tylko, że sam już o tem myślał...

— Takiego żywiołu z naszego społeczeństwa koniecznie się pozbyć potrzeba. Mogłoby to nieznacznie na młodzież oddziaływać...

Ma być nie głupi. — Nie ma nic zaraźliwszego nad te ich nowe idee, gdy je głosi człowiek z talentem...

Bardzo prezesowi wdzięczny, żeś mi dał znać o niebezpieczeństwie i powołał w czas... Z Tolą później mogłoby być trudno... uparta i samowolna.

— Ja by należało wydać za mąż — szepnął prezes.

— Nadzwyczaj trudno! wątpię, by się to nawet kiedy komu udało. Jak postarzeje wyjdzie potem sama za jakiego zrujnowanego materialnie i moralnie chłopaka... ale na to poczekamy... Nie ma ochoty do świętego stanu małżeńskiego...

— A — do klasztoru? spytał prezes...

— Jeszcze mniej.

— Mogłaby w nim być — bardzo pożyteczną...

— Najmniejszego usposobienia... Zresztą, ja, mój prezesie, mogę do pewnego stopnia zapobiedz, żeby się co nie stało — nigdy zmusić, aby coś zrobiła.

— Dobrzebys zrobił hrabio, jeśli ci to na sercu leży — dodał cicho prezes, żebyś wiadomości o awanturniku mógł jeszcze z innego źródła, przez inne osoby jej kazać — powtórzyć. — Zrobiłoby to większe wrażenie.

Zciemniało już gdy dokonczyli rozmowy, a nadchodząca piękna Żulietta, która nic o gościu nie wiedziała — zaprosiła ich z sobą do salonu...

W tej samej chwili, w kamienicy nad profesorem Kudelką. Teodor przechadzał się głęboko myśląc nad sobą i swoją przyszłością.

Każde zbliżenie do Toli, rozbudzało w nim dawną dla niej miłość. Jako syn pani prezesowej mógł mieć jakąś nadzieję, że Tola nim nie pogardzi, widział

w oczach jej jeśli nie miłość to litość i współczucie — jako sierota bez nazwiska, nie mógł myślał nawet sięgnąć ku niej.

Po cóż się było ludzić? na co nadzieją próżno serce rozkołysać. aby potem więcej cierpieć? — Uchodzić, skryć się, szukać gdzieś nowego życia, ludzi nowych — pracy coby dała zapomnienie — było jedynym ratunkiem.

A na myśl dobrowolnego rozstania — smutek ogarniał. Raz już je był przebolewał i drugi, jeszcze i znowu odżywną ranę goić... sił prawie brakło. Walczył z sobą. — Była to jedna z tych chwil życia. w których dusza w istocie smutną jest aż — do śmierci.

Tylko obowiązek mężczyzny, godność mężka zmuszała go — stawić czoło nowej próbie.

— Uciekać, tak — uciekać trzeba ztąd — lecz nie bez pożegnania. — Na wieki już pożegnać się muszę — czemuż słodczy i żółci tej chwili nie mógłbym skosztować?...

Chciał już wychodzić z izdebki. nie wiedząc dobrze dokąd pójdzie. gdy przez wolno otwierające drzwi wsunął się Kudelka. .

— Co ty tu tak sumniesz? czy ci jeszcze na świecie źle? he? zapytał.

— Zgadliście...

— Zkądże to? prezes cię tam skouwinkował słyszę? he? czem... nie posądzam, dodał Kudelka — nie chcę przypuszczać, żeby dokument. o którym wiem od doktorowej. że ci go odczytano — był fałszywy... ale... mam co do niego, grubą, grubą wątpliwość?

— Jaką? zapytał Teodor.

— W mieście sekretu utrzymać trudno — mówił stary, od doktorowej podowiadowało się dużo ludzi,

rozlażło się to szeroko, bo każdy twojej historii ciekawy. Otóż... posłuchaj. Prezes powiada, że po wyjeździe nieboszczyka ks. Zakliki. pani prezesowa opamiętawszy się podyktowała ten akt woli ostatniej. a jest tu na kanoniach, kapelan. ksiądz Lacki, który z Zakliką jeździł. i da w potrzebie świadectwo. iż prędat wyjechał dopiero po śmierci za kilka godzin... Chybaby więc nieboszczka zmartwychwstała...

Teodor drgnął. — Na miłość Boga, mój profesorze. tak, aby nikt a nikt o tem nie wiedział, wyrób mi księdza Lackiego świadectwo. urzędowe, pod przysięgą kapłańską.

— Nic łatwiejszego, sam mi się z niem po cichu ofiarował... ale — sza!!

Znowu tedy rozpromieniała nieco twarz Teodora, ale już nie dowierzał, aby mu się prezesa zwyciężyć udało... Ucałowawszy staruszkę, poszedł do panny Toli, która tegoż dnia przysłała prosząc, ażeby pieniądze swoje odebrał, gdyż nazajutrz na wieś wyjeżdża, i radaby się pozbyć depozytu.

Teodor mówił sobie po drodze, iż ją pożegna... a gdyby nawet szczęśliwie się skończyć udało — nie będzie się jej narzucał, złamany, ostygły, zszarżany nędzą, którą doznał. Nie czuł się jej godnym. Silniejszy obietnicy Kudelki. ale nie weselszy, wszedł do mieszkania Toli.

Czekała go tu wcale nie miła niespodzianka, w salonie na kanapce rozparty wygodnie siedział hrabia Maurycy. Przed laty widywał go Murmiński, nie sympatyzowali nigdy z sobą, w rzadkich spotkaniach unikali się instynktowo czując, że sobie są nieprzyjaźni.

Teodor wszedł oznajmiony wprzód — Tola kilka kroków wystąpiła przeciw niemu i powitała głośno.

— Bardzo panu dziękuję, że przychodzisz, bom koniecznie chciała mu dziś złożyć depozyt... myślę na wies jechać jutro — miasto jest nieznośne...

Hrabia bardzo nieznacznie skinął głową przychodniowi i odebrał takiż ukłon niedostrzeżony.

— Ja także znajduję miasto w porze letniej duszącem — odpowiedział Teodor — i — wynoszę się, jak tylko interesa nłożę.

— Pan? dokądże? spytała Tola.

— Doprawdy tego jeszcze dziś powiedzieć nie umiem, mówił dość niedbale Teodor. W moich nieszczęśliwych wędrówkach po świecie. mógłem poznać wszystkie niedogodności pobytu w różnych świata stronach. nie znalazłem ani jednej. do którejbym pragnął powrócić. W Syberji bardzo zimno... i poczty przychodzą rzadko... w Algierze bywa nadto gorąco i niezmiernie brudno — ja w ogóle na całym wschodzie, w Indiach klimat zabójczy, a polowanie acz dramatyczne, ale trudne...

— A w naszej starej Enropie? spytała Tola.

— W Niemczech? na teraz cudzoziemiec znajduje niewygodną gościnę. we Francji smutno. — Zdaje się, że co chwila gmach się nad głowami zawali... we Włoszech dopiero czyszczą apartamenta dla przyszłości — słowem, nie ma się gdzie podziać.

W czasie tej krótkiej rozmowy hrabia patrzył, słuchał, widocznie mikał mieszania się do niej. Z razu sądził, że Tola odprawi rychło gościa tego, przekonawszy się, że nie myśli odchodzić — poszedł rozmawiać z panią Teresą, nie spuszczaając z oka swej pupili.

Tola z jakąś gorączkową niespokojnością spoglądała to na opiekuna. to na Teodora... Znalazła sposób szepnąć mu nieznacznie.

— Nie odchódź pan — muszę kilka słów mu powiedzieć.

Posłuszny rozkazowi Murmiński po krótkiej pauzie znalazłszy album zatopił się w przepatrywaniu jego, Tola poszła do hrabiego.

Oba ci panowie widocznie czekali, kto kogo przesiedzi. Hrabia trzymał się na uboczu, unikał ogólnej rozmowy, ale uparcie się trzymał. Murmiński zdawał zapominać gdzie jest, tak żywo go album zajmował.

Tola przechodziła od jednego do drugiego. Teresa wyłącznie poświęciła się zabawieniu opiekuna.

Dosyć nudno i długo spłynęło tak pół godziny.

— Kochana kuzynko, szepnął hrabia, oddajże mi depozyt i niech sobie idzie.

— Niepodobieństwo... byłby zakłopotany, gdybym mu tu publicznie liczyła pieniądze... a liczyć muszę...

— A ja bym go tu nie chciał zostawić.

Tola zarumieniona spojrzała strasznie dumnie, prawie obrażona na hrabiego.

— Cóż to! czy widzisz pan w tem niebezpieczeństwo!

Tak przynaglony niemal do opuszczenia placu, hrabia Maurycy kwaśno dosyć chwycił za kapelusz i bez dalszych pożegnań, skinąwszy głową wysunął się za drzwi. Ukrył gniew w sobie, ale mocno był oburzony.

Tola za ledwie wyszedł, zwróciła się żywo do Teodora... Widząc ją nadchodzącą, wstał. Wzrokiem więcej mówiącym niż kiedykolwiek usta wypowiedziały — spojrzeli na siebie.

— Wyjeżdżasz pan? zapytała.

— Muszę, rzekł Teodor — czuję się znużonym, potrzebuję spoczynku.

— Bez żartu — dokąd pan jedziesz?

— Nie wiem — odparł Murmiński, wiele jeszcze ju-

trzejszy dzień stanąć może. Nie mogę pani powiedzieć, na co czekam, ale wyrok wyjazdu da jutro.

— A jeśliby ono powiedziało — zostań.

— Nie wiem, czybym posłuchał — począł Murmiński. I w tej chwili widząc że Teresa wyszła, z wzruszeniem zbliżył się do Toli. Ostatnie godziny młodoci przeżyłem — ostygłem... wytrzeźwiłem się, nie chcę być drugim i sobie ciężarem, a tubym nim być musiał.

Tola milczała z głową spuszczoną.

— Hrabia, któremu nigdy nie miałem szczęścia się podobać — dodał — mógłby pani lepiej niż ja wytłómaczyć konieczność mojego wyjazdu. Ja patrząc na niego i wiedząc że z jemu podobnych ludzi lub jeszcze pokrewnych składa się ta społeczność, o którą bym się co chwila ocierać musiał — czuję, że tu nie powinien pozostać. Miejsca tu dla mnie nie ma, ścigałaby mnie potwarz, niechęć, wstręt... a doprawdy nie mam już ani siły ni ochoty przebłagiwać, zasługiwać się, wpraszać.

— Dla czego pan z hrabiego sądzisz o całej społeczności? wtrąciła Tola.

— Bo hrabia jest jednym z najszlachetniejszych jej reprezentantów — mówił Teodor — może on być mi niemiły, ale mu oddaję sprawiedliwość — to kwiat i wybór, po za nim straszniejsze stają widma.

Sama pani, czujesz iż należę do tych *declassés*, do ludzi bez szeregu, do maroderów wielkiej armii, dla których miejsca tu nie ma.

— Słyszałam niegdyś — odezwała się Tola, że ludzie je sobie zdobywali.

— Tak geniuszem, energią, szczęściem — ja żadnego z tych narzędzi nie mam.

— Nawet energii.

— Tak, pani — straciłem ją.

— Wstąpże pan do klasztoru — dodała Tola — bo inaczej doprawdy nie rozumiem, gdziebyś się mógł pomieścić.

— Do klasztoru nie mam dosyć rezygnacji.

— Bez energii, bez rezygnacji — a to już ostatnia nędza! zawołała Tola.

— Dobrześ ją pani nazwała, potwierdził Teodor.

— Znałam pana wcale innym.

— A, pani. nie przeczę, lecz i świat w którym wówczas się obracałem, był wcale odmienny.

Tola przeszła się parę razy po pokoju.

— Świat, dodał Teodor po chwili — tak — i miałem pobudki do walki... miałem nadzieje wielkie.

— Nadzieje co panu odebrało? zapytała.

— Przekonanie że były ulicą prowadzącą do muru, o który trzeba chyba rozbić głowę.

Wejście pani Teresy przerwało rozmowę.

— Idę po szkatułkę i przynoszę panu pieniądze — odezwała się Tola — musisz je pan dziś zabrać — ja jutro jadę.

— Czyż jutro! czy koniecznie jutro!

— Dla czego pytasz pan o to! odwracając się odezwała Tola.

— Bobym chciał u pani jutro uprosić. — Jestem dziecinny, stałem się zabobonny... jutro jeszcze...

— Daruję panu jutro...

— Nie wypłacajże mi pani dzisiaj, będę pewniejszym, że mi słowa dotrzymasz?

— Czyżem kiedy zawiodła?

Murmiński wstał i pobiegł pocałować ją w rękę, usta wpił w tę drżącą dłoń i nie mógł ich od niej ode-rwać.

Ze współczuciem i politowaniem popatrzała nań Tola. ale smutnie — jakby pytała. czy tego na pół odrętwiałego człowieka na nowo do życia przywrócić potrafi.

Murmiński czując że hrabia się zjawi znowuanie chcąc z nim spotkać się po raz drugi — pożegnał nie mówiąc gospodyni.

Nazajutrz doktorowa mimo wielkiego wstrętu do domu prezesa, poszła do niego rano z oznajmieniem. iż Murmiński, który się wybiera w podróż. prosi tylko prezesa o jedno jeszcze posłuchanie, o pokazanie oryginalnego dokumentu i o kilka słów przy świadkach.

— Po cóż nam świadkowie? odezwał się dosyć opryskliwie prezes — powiedziałbym. że wymaganie oryginalnego dokumentu jest już obrażającym. Cóż to? ten pan myśli. że ja akta fałszuję?

Rozśmiał się suchym i gniewnym głosem.

— Ale zresztą. bardzo dobrze. bardzo dobrze — dokument mu pokażę. na rozmowę przyjdę. a jeśli chce świadków. niech z sobą przyprowadzi Kudelkę. — Po co tę sprawę rozmazywać — tóż samo jest przeciw woli nieboszczki prezesowej.

Naznaczono godzinę popołudniową.

Nieszczęśliwa doktorowa. na którą wszystko spadało. musiała sama jechać o tem oznajmić, — zapraszając zarazem Kudelkę, który milcząco skłonił się. przyjmując świadka obowiązek.

Obaj razem przybyli wedle żądania Jejmości na obiad do niej. ale w czasie obiadu nawet o rzeczach obojętnych rozmowa się nie kleiła. Gospodyni zabawiła ich jak umiała i mogła — ale i jej samej

w przewidywaniu nowych komplikacji, nowej burzy i zawikłań nie było wesoło.

Nie mogła przypuścić już — po uczynionych doświadczeniach smutnych, ażeby prezes dał się złamać i zwyciężyć, spoglądała więc na Murmińskiego jak na nieszczęśliwą ofiarę.

Po obiedzie spoglądano na zegar niespokojnie... Nadeszła godzina naznaczona... Prezes. jak zwykle był punktualnym. Po chodzie mierzonym od przedpokoju poznać go było można. — Wszedł z powagą i pewnością siebie, jakby do izby sądowej, nieco z góry spoglądając na przytomnych. W głębokiem milczeniu powitano go ukłonami z daleka. — Gospodyni zaledwie pozdrowiwszy go. wysliznęła się szybko — ażeby nie przedłużać przykrego oczekiwania sceny, która była nieuchronną.

Po wyjściu jej, prezes, także się zdając spieszyć, spojrział na własny zegarek niecierpliwie i do był papieru z kieszeni.

Ręka mu się widocznie trzęsła, twarz jednak zachowała wyraz spokojny — okryła się tylko bladością.

— Przepraszam panów za mój pośpiech, począł sucho i niemal urzędowym tonem zwierzchnika, który powołuje podwładnych do roboty. — Nie mamy wiele do czynienia, oto jest ów żądany oryginalny dokument...

Papier, mówiąc to, rozłożył na stole.

Kudelka pierwszy, bliżej stojąc, przystąpił i wziął go w rękę.

Czytał powoli i rozważnie — Murmiński nie zbliżając się nawet, stał z boku obojętny. Staruszek

kręcił добыtą lupą. dobierał światła. przebiegał oczyma papier z góry w dół, z dołu wracając do góry, co jakoś niecierpliwiło dostojnego pana.

— Przepraszam — za pozwoleniem. odezwał się. ciągle trzymając papier. — Jest to więc dokument który powstał, zredagowany miał być i podpisany po wyjeździe ks. Zakliki?

Prezes popatrzał dumnie.

— A no — zdaje się! sam tenor tego dowodzi! rzekł tonem szyderskim.

Kudółka podniósłszy oczy popatrzał długo na prezesa, którego twarz zapewne tą śmiałością oburzona zarumieniła się.

— Hm! to szczególna! to bardzo dziwna rzecz! odezwał się zwolna. — Rodzi się tu kwestyjka drażliwa. jest bowiem wiadomo wszystkim tym, którzy to nie jednokrotnie od nieboszczyka ks. Zakliki, który nie kłamał nigdy — słyszeli. — iż on dopiero po zgonie ś. p. prezesowej. gdy już ciało jej na katarfalku spoczywało — odjechał.

W czasie tej interpelacji prezesowi oczy zaczęły połyskiwać dziko — szarpnął się niecierpliwie — czerwony i niemal zsiniały... rękę podnosząc...

— Jak to może być? kto śmie to utrzymywać! krzyknął głośno — cóż to jest znowu! to fałsz, wierutny fałsz!!

— Niech mi prezes daruje; nie fałsz to jest. ale jakieś nieporozumienie zapewne, o którego wyjaśnienie proszę. Twierdzenie bowiem moje nie opiera się na gołosłownem podaniu o tem, co ks. Zaklika mawiał, ale na świadectwie też osoby żywej. ze wszechmiar na poszanowanie i wiarę zasługującej. JMci

ks. Lacki towarzyszył pralatowi, a ten żyje i zeznaje. iż do zgonu łoża umierającej nie opuścili.

Spojrzał kończąc na prezesa — ten pobladał i zachwiał się. Jednocześnie rękę drżącą wyciągnął po dokument, który Kudełka trzymał uparcie i uchylił się. aby go nie dać dotknąć.

— Ks. Lacki śmie to twierdzić! cóż to? uproszony! przekupiony czy nieprzytomny, czy warjat? Świadczyć przeciw nam? wołał prezes.

— Nie tylko to twierdzi — dodał Kudełka — ale powiada. że gotów w razie potrzeby. zeznać pod przysięgą. — Akt ten z talentem zredagowany — mówił dalej — niezaprzeczenie bardzo zręcznie podrobiony. jest z innych względów nieochybnie fałszywym.

To mówiąc szedł ku oknu; prezes z oburzenia mówić nie mogąc, gonił za nim. czychał na dokument, ale Murmiński. stojący z boku. okrył sobą staruszką. Ścigający powstrzymać się musiał.

— Ba! ba! ba! mówił spokojnie profesor kręcąc lupą na wszystkie strony i przyglądając się arkuszowi papieru przeciwko światłu. Osobliwsza rzecz. żeby też tej uwagi nawet nie mieć! a toż dokument sporządzony w r. 1866... a papier nosi znak wodny 1868! — Cha! cha! to już studenterja. studenterja!

Prezes jak wściekły wybuchnął.

— Cóż to jest! mnie o fałszerstwo pomawiacie! mnie! wy śmiecie! Wiecie. kto ja jestem? To więc była zasadzka na mnie i na oryginał!! proszę mi go zaraz zwrócić! natychmiast!

— Niech się pan prezes uspokoje — rzekł Kudełka — nikt pana przecież nie obwinia, tylko tego, kto tak

głupio ten akt podrobił. Sąd rozstrzygnie, expertów powołamy.

— Proszę mi natychmiast oddać dokument! zawrzał prezes następując coraz bliżej — natychmiast! cóż to jest! gwałt! przywłaszczenie — począł coraz bardziej. głos podnosząc.

— A! nie! odpowiedział Kudelka chowając go pod frak granatowy z obawy, aby mu nie wyrwano i kryjąc się za Murmińskiego — trzeba posłać po urzędnika i wręczyć go tu zaraz sądowi do śledztwa. Zwołamy expertów — niech ci wyrokuja.

Prezes jeszcze znać chciał zachuczeć i zakrzyczeć, ale wśród bezsilnego miotania się głosu mu zabrakło. Zimny pot kroplami występował na zmarszczone czoło.

— Mości panie — rzekł stłumionym głosem — ten dokument został mi wręczony nie dawno przez jednego z podpisanych na nim świadków. Ja o egzystencji jego nie wiedziałem; — ja nie dopuszczę, aby ktoś mi życzliwy został przez to skompromitowanym; ja, choćby mi do gwałtu i ostateczności uciec się przyszło, nie dopuszczę... nie.

— O gwałcie nie ma co myśleć, bo nas tu dwóch przecie — odezwał się spokojnie Murmiński — gwałt niemożliwy.

Prezes pochwycił się obnącz za głowę i wpadł jak nieprzytomny do sąsiedniego gabinetu.

— Proszę panów — zakrzyczał — proszę tu panów dość tego — dość.

Obrócił się do Kudelki, na którego straży u boku jego stał nieodstępny Murmiński.

— Powtarzam panu. że ja dokument ten mam od — niedawnego czasu. — Ja nic nie wiem... Mogła jakaś niewczesna głupia gorliwość spowodować przyjaciół do kroku niewłaściwego. Ja nic nie wiem. Cóż to to! Wszak o pieniądze żadne nie chodzi! Ja nie pojmuję.

Drżał cały, mówił głosem przerywanym, a chwilkami brakło mu siły i tchu. Wił się i kręcił jak ryba która w sieć wpadła.

— Ten dokument — jeśli jest fałszywy — to go zniszczyć.

— Ale na tem niedość — odezwał się Kudelka, należy zapobiedz. aby się nie rodziły inne podobne... My mamy prawo wymagać czegoś więcej. Musisz pan uznać pana Teodora jako swojego przyrodniego brata, ażeby o to więcej kwestji nie było.

Słyszając to prezes wstrząsł się i oczy mu znówu się zaiskrzyły dziko.

— Do czegoż to uznanie, na co?

— Na to. bym miał prawo głosić się bez sporu tym. kim jestem! wtrącił Murmiński. — Skróćmy już tę scenę zbyteczną. Dziś ja dyktuję warunki. panie prezesie... Jeśli pan chcesz się uwolnić od hańbiącego procesu — siadaj i pisz żądane zeznanie. Profesor będzie nam służył za świadka.

— Ale ja — ja dokument ten naprzód napowrót odzyskać muszę.

— Będziesz go pan miał, chociaż nie naprzód — ale po dopełnieniu, czego p. Teodor słusznie się domaga — dodał Kudelka — a któżby się chciał dla zabawki w błocie bebrać.

Ruszył ramionami.

— I tajemnicy domagam się — nalegał prezes — pod słowem honoru!

A! honoru! rozśmiał się Kudelka — po co tu już honor mieszać do sprawy, w której go wcale nie wi-
dać. Pan Teodor przecie i słowa nie dając, przyro-
dniego brata i jego familji kompromitować nie zechce.

— Bądź pan spokojnym—dodał Teodor—dokonanie
sprawiedliwości i pomstę krzywdy mojej zostawiam
temu, co sądzi i karze.

Prezes rzucił na nich oczyma z kolei, badając
twarze, nie pewien co ma począć — zdawał się wahać.
myśleć — wreszcie drżąc rzucił się na siedzenie, po-
chwycił pióro i położył je raz jeszcze—zakrył oczy —
z gniewu trząsł się cały, nim się zebrał na siłę speł-
nienia tego co od niego wymagano.

Siadł do pisania.

Kudelka przystąpił do stolika i począł zwolna
dyktować. a przez szkiełko sprawdzał czy improwizo-
wany uczeń nie wyda się w zadanem mu ciężkiem
pensum.

W czasie całej tej sceny milczącej, twarz preze-
sa tak strasznie zmienioną była. iż zdawał się ostat-
niej dożywać godziny... Pióro to biegło po papierze
z gorączkowym pośpiechem. to się wstrzymywało zwą-
tpiałe i onieśmiałone... Myślał już o przyszłości. —
Skonczywszy pisać — na pół omdlały dłońmi osłoniw-
szy twarz, siedział długo nie mogąc się z miejsca po-
ruszyć.

Kudelka wziął papier odczytał, umoczył pióro,
podpisał je—jako świadek — a razem akt podejrzany
położył przed prezesem. .

— W dodatku masz pan jeszcze i gotowe zeznanie ks. Lackiego. już nam nie przydatne... rzekł kłaniając się.

Oba papiery pochwycił prezes. cisnąc je do kieszeni. — Nie odpowiedział już ani słowa. wstał z brwiami namarszczonemi. zatoczył się jak upojony i chwiejącym krokiem. ze spuszczoną głową, nie pozdrawiając nikogo wyszedł.

W pierwszym pokoju oczekująca na koniec konferencji doktorowa. której zdawał się nawet przecho-dząc nie widzieć — poznała po jego posępnej powierzchowności, iż wcale co innego niż przy pierwszym spotkaniu zająć musiało. — zerwała się więc żywo, spiesząc rozpromieniona nadzieją do gabinetu, w którym właśnie Kudelka ścisnął i całował Teodora... milczącego, ale rozczulonego, dziwnem losu zrządzeniem.

Ten, który mu raz uratował życie—teraz powtórnie przywracał mu prawa jego społeczne...

Na widok doktorowej mrugnął staruszek dając znak porozumienia Teodorowi.

— Pani dobrodziejko, zawołał posuwając się do gospodyni—byliśmy niesprawiedliwi!! tak! skrzywdziliśmy prezesa! Szlachetny człowiek nawet gdy chwilo-wo pobłądzi—uczuje swą winę i stara się ją wynagrodzić.—

Widzi pani! otóż prezes sam — z dobrej a nie-przymuszonej woli, uznał pana Teodora swym bratem przyrodnim, i krzywdę wyrządzoną uroczysem tem przyznaniem nagrodił...

Patrz pani—oto jego ręka...

To mówiąc pokazał jej otrzymany dokument. Pocziwa doktorowa rzuciła się do papieru niedowie-

rzając oczom. a potem do smutnie nśmiechniętego Murmińskiego... wińszując i do Kudelki, który widocznie tryumfował. Nikt go jeszcze takim zamaszystym nigdy nie widział jak w tej chwili.

— Prezes! prezes to uczynił! z dobrej woli!—zawołała—ale czyż może być?

— Tak jest—tak—potwierdził Murmiński. Wszystko skończone—zapomniane—nagrodzone.—

Pocałował ją w rękę z uczuciem.—

— A pani wiele a wiele dopomogłaś do tego, ażeby sprawiedliwie zadość się stało... niech jej będą dzięki!

— Jeśli tak! zwracam mój szacunek prezesowi—zawołała doktorowa — nparty był. to prawda — lecz się pocziwie pokazał. Lepiej późno niż nigdy...

Właśnie tego samego dnia przypadało wieczorne przyjęcie zwykle u państwa prezesostwa; a że zjazd obywateli do miasta był znaczny z powodu wełnianego jarmarku, spodziewano się gości więcej nawet niż zwyczajnie. Piękna Żuljetta, która mimo wielkiej powagi lubiła hołdy odbierać, przygotowywała się wystąpić tak, aby zuown zdziwić wszystkich swą wiekustą młodością i świeżością. Chociaż tn zwykle wcale nie występowano i dom gotów był choćby największą liczbę łaskawych gości przyjąć bez żadnego wysiłku. tego dnia jednak musiała piękna pani posłać na wypadek po tort i ciasteczka.

Godzina ósma, o której zwykle się schodzili wszyscy. wybila — świece były pozapalane — Żuljetta wyszła ze swych pokojów nakładając rękawiczki i zdziwiła się mocno nie widząc w sali męża, który ją zwykle uprzedzał. Niespokojna trochę, poszła prze-

glądając się po drodze w zwierciadle, do drzwi jego zapukać. Nie pamiętała, czy od za mąż pójścia dwa razy się coś podobnego zdarzyło.

Zapukała zlekka. Żaden głos jej nie odpowiedział,— uchyliła więc drzwi zwolna.

— Jeszcze nie jesteś gotów? zapytała. Spojrzała. Prezes błądy jakiś siedział przy biurku otoczony papierami i pośpiesznie coś pisać kończył. Na kominku dogorywała kupka popalonych listów i notatek.

Podniósł głowę. — A! to ty! natychmiast służyć ci będę — rzekł głosem zmienionym, wodząc rękę po czole — miałem pilne — bardzo pilne interesa. Zaraz kończę.

Żuljetta przymknęła drzwi dyskretnie. — Wchodził właśnie do salonu jeden z jej najgorętszych wielbicieli cichych, pułkownik S., którego niewinne holdy, milej niż inne przyjmowała piękna Julja.

Pułkownik stanął w dramatycznej pozie adoratora i dłonie złożył podnosząc ku górze i zawolał: O mój Boże! jakżes nam pani dziś czarodziejsko piękna!! A coraz inaczej, a coraz piękniejsza, a zawsze urocza!!

Prezesowa z dziecinnym uśmiechem łaskawie wyciągnęła mu rączkę, na którą pułkownik rzucił się jak zgłodniały, całując ją z zapalem młodzieńczym, choć młodość jego dawno już była tylko wspomnieniem przeszłości.

— Jaki z pana pochlebca! a fe! odezwiała się głosem pieszczonym i śpiewnym — ja dziś wyglądam o doprawdy okropnie — a pan urągasz się ze mnie.

— Pani! przerwał pułkownik — nigdy ja nie wi-

dział piękniejszą, choć dla mnie jesteś zawsze ideałem...

— A wstydz się pan, starej takiej, matce rodziny, mówić takie rzeczy, od których jej uszy odwykły.

Pułkownik wzruszył ramionami i oczy podniósł ku niebu.

— Nie mogę słuchać tego, coś pani wyrzekła!

Za pułkownikiem wszedł sędzia, człowiek wygolony, grzeczny, w rękawiczkach. które szósty wieczór odbywały. nie młody już. obarczony liczną rodziną i przychodzący tylko regularnie składać uszanowanie. Ten z pokorą zbliżył się do pani prezesowej dobrodziejki. składając jej uszanowanie. Potrzebował protekcji. — Rozmowa z nim wszczeła się o zatrwajającym kokluszu, który w mieście panował. Prezesowa dowiadywała się. czy dzieci jego nie dostały tej choroby, ale nie z troskliwości. nie, tylko ze strachu, aby jej nie wniósł zarazy do domu.

Odwracała się coraz ku drzwiom, któremi czas było, ażeby wszedł gospodarz. ale prezes nie nadchodził.

Jeszcze w środku salonu toczyła się rozmowa, gdy wtoczył się młodzieniec ufryzowany. kłaniający się mechanicznie jak lałka. głową nagle w dół. w rękawiczkach paliowych. kamizelce otwartej na piersiach i kołnierzyku sztywnym jak drewno. Ten miał nadzieję być przez panią prezesową wyswatany i spełniał wszelkie posługi dla czarodziejskiej Żulietty, do jakich tylko używać go raczyła. Miał wielką łaskę u prezesowej, gdyż był pokorny i padał podnosząc jej chustki i rękawiczki z ziemi. a w oczach jego malowało się uwielbienie. któremu każda kobieta jest rada.

Żuljetta wiedziała, że mu była gwiazdą promienną, do której nieforemne poezje składał.

Zaczęła z nim coś mówić o ostatnim kadrylu na wieczorku u księcia i znowu obejrzała się na te nieszczęśliwe drzwi uparcie zamknięte. Pana prezesa jak nie było tak nie było.

Drzwi salonu tylko otwierały się ciągle, wpuszczając wciąż nowych gości zdziwionych, że na swem stanowisku gospodarza nie zastawali. Przybył hrabia Maurycy i baron Lichtenhof i radca finansowy Seidelmeyer i jeszcze jakaś mała figurka z bardzo długimi rękami.

Gospodyni zastępująca prezesa coraz niespokojniejszem oglądała się okiem ku pokojowi męża. Było rzeczą niesłychaną, nadzwyczajną, to opóźnienie tak regularnego i surowo obowiązki swe pełniącego człowieka.

Nareszcie panie wsuwać się zaczęły i w chwili gdy niemi była zajęta piękna Żuljetta, otwarły się drzwi prezesa nagle, żywo, na progu ukazał się gospodarz blady, wodzący po zgromadzeniu osłupiałemi oczyma. Stał na chwilę przytrzymując się wszakże i chciał dalej posunąć niepewnym krokiem. Kilka poufałych osób stojących bliżej spojrzawszy nań, pospieszyło doń z przestrachem—chwał się na nogach—blady był i widocznie chory—ciężko chory. Żuljetta dostrzegłszy to, pobiegła ku niemu.

— Co ci jest! m o n c h e r! a! ty się tą pracą zabijasz, zamęczasz! jakże to można!

Prezes bełkotał chwytając drzwi konwulsyjnie.

— W istocie, jest mi jakoś bardzo nie dobrze...

kręć mi... uderzyła do głowy! do głowy... Usta krzywił mu nienawistnie wymuszony. Może to przejdzie...

W tej chwili zatoczył się i tylko chwyciwszy znowu drzwi, potrafił utrzymać się w miejscu. Wszystkich oczy zwrócone były na niego, cisnęli się goście dopytując niespokojnie.—Co się prezesowi stało? Co to jest?

— A to właśnie dzień nasz... rzekł pułkownik. i my nawet panu spocząć nie dajemy.

— Owszem... słabo i jękając się usiłował odpowiedzieć gospodarz... to mnie rozerwie.

Ręką chwycił się teraz sukni... tarł czoło i powieki... dwa kroki ledwie zrobiwszy do najbliższego krzesła... padł na nie... przepraszając.. głowa zwisała mu na piersi. Zdawał się zapominać gdzie jest. Goście wszyscy skupili się do koła. Szmer i szepty przebudziły go, przypomniał znać sobie, że miejsce jego było w środku salonu—poruszył się gwałtownie z krzesła, posunął kilka kroków i zachwiał. Pułkownik, który był najbliżej, pośpieszył podać mu rękę... Bolesć coraz widoczniej wypiętnowywała się na twarzy nieszczęśliwego. Żona załamała ręce.

— Mon cher! zawołała — ale wracaj-że natychmiast do siebie—ja—gości przeproszę... ty się musisz położyć... tyś okropnie cierpiący... Po doktora! po doktora!

Młodzieniec usłużny kopnął natychmiast ku drzwiom rozbijając gości.

Prezes się podźwignął gwałtownie resztami sił.

— Za nic w świecie nie chcę doktora! zaprzeczył — to tylko osłabienie — ja pójdę do siebie... spocznę...

ale nie posyłać—nie trzeba żadnego lekarza—proszę, proszę.

Znak oczów pięknej pani. mimo tej protestacji pchnął młodzieńca fryzowanego ze wschodów na miasto.

W jednej chwili szepty rozeszły się po salonie. do sieni aż. Prezes bardzo chory i wszyscy chwytając kapelusze wynosili się co żywiej. Prezesowa podziękowawszy pułkownikowi za pomoc wejściem, sama wzięła rękę męża i znikła z nim wiodąc go do gabinetu.

W salonie w pięć minut już nikogo nie było, a w domu paliły się samotne lampy i świece... wśród cmentarnej ciszy.

Pierwszy raz od lat wielu wieczór zwykły musiał być odproszonym. — Prezes widocznie zagrożony był chorobą ciężką. Siedział nieruchomy na kanapie, z głową zwieszoną na bok, pół drżący jęcząc cicho — żonę trzymał za rękę, a niekiedy rozdzierając powieki wielkim wysiłkiem — patrzył na nią wzrokiem osłupiałym, milcząc, zaciskając usta z boleści. na którą się nie skarżył...

Napróżno Żuljetta dłoń przykładając mu do chłodnego czoła dopytywała o cierpienie—o przyczynę—nie odpowiadał jej nic, wzdychał tylko.—Po jakim czasie głosem osłabłym... odezwał się wreszcie.

— Chciałbym dzieci zobaczyć!

Żądanie to przeraziło Żuljetę, która ani przypuszczać mogła, by cień niebezpieczeństwa mu groził. —Zakrzyknęła zrazu przeciw temu dziwactwu męża—lecz właśnie nadchodził doktor, którego ufryzowany młodzieniec chwycił w resursie na gorącym whicie.

Na widok tej facjaty rumianej, pompatycznej, imponującej—prezes zmieszał się i nim do niego Eskulap przystąpił, prosił żony, ażeby wyszła.

Zawahała się zrazu prezesowa, lecz nawykła do posłuszeństwa—ustąpiła powoli.—Doktor, który wpatrywał się już chwilę bacznie w chorego, usiadł przy nim. Zmiana twarzy prezesa uderzyła go, pochmurniał sam,—

Chciał ująć za rękę prezesa, który mu ją bezsilnie wyrwać usiłował... jakby się czegoś obawiał... ale wnet sam porwał doktora dłoń... zwrócił się ku niemu i wybełkotał.

— Na honor. zaklinam!! Proszę! Choroba nagła! apopleksja! nic innego! zaklinam! Żadnego ratunku nie przyjmę, bo chcę i muszę umrzeć. — Milcz! proszę!—

Oślupiał doktor z podziwu.—Na twarzy chorego jakiś rozkład szybki organizmu się małował, rysy się zmieniały, ścięgna poruszały i wyciągały nienaturalnie... Doktor załamał ręce... a potem biegł do dzwonka, prezes go za poję schwycił.—Stój! honor!... mówił ochrypłym głosem... Nic! nic nie trzeba. — Honor!... Niech przyjdą dzieci! dzieci!

Z szybkością nadzwyczajną pod wpływem tajemniczym twarz się przemieniała — położenie doktora stawało się przykrem — stracił głowę pod naciskiem tego piorunującego niebezpieczeństwa. Obląkany wzrokiem powiódł po pokoju... na biurku stało jeszcze małe okrągłe pudełeczko otwarte, wypróżnione, na którego dnie odrobina jakiegoś białego proszku się lśniła...

Świeżo znać było wzięte... niewiadomo z kąd... jakby z apteki—szpitalnej.—

Chory zobaczywszy pudełeczko, chciał wstać. lecz opadł na kanapę bezsilny. zdrętwiały — wyciągnięty!

— Doktorze! zniszcz! schowaj! Honor! Apopleksja! bełkotał głosem stłumionym, który coraz stawał się słabszym.

Lekarz przybiegł do niego i ujrzał z boleścią niewysłowioną. że już w istocie honor tylko mógł ratować, bo życia—było nie podobna.

Chory powtarzał—Dzieci! dzieci!

Doktor więc pobiegł sam do pani.

Żuljetta, która jeszcze nie domyślała się tak wielkiego niebezpieczeństwa, chodziła jeszcze zamyślona po salonie... gdy nadbiegający lekarz zmusił ją co najprędzej dzieci sprowadzić...

Z krzykiem rzuciła się na drugi koniec domu, po oddalone dzieci...

Tymczasem przybywali lekarze. powysyłani przez przyjaciół. ze wszystkimi przyrządami ratunku i aptekami podręcznymi... Puszczano krew zastygającą nadaremnie. Iano do ust zaciętych lekarstwa... Prezes zsunął się na kanapę i zbielewały. siny, małe dawał życia oznaki... Otworzył oczy gdy przyszły dzieci. podniósł ku nim ręce, powieki i dłonie opadły...

Konał widocznie...

Doktorowie szeptali złowrogo między sobą się radząc... ale trup już tylko leżał przed nimi...

Żona za późno posłała po księdza.

Przez cały ten wieczór jednak — znać z rozkazu pierwszego lekarza i po naradzie z przybyłymi kre-

wnemi, ukryto nawet dla domowych ten zgon tak nagły... zamknięto drzwi, nie wpuszczono nikogo i dopiero we dwadzieścia cztery godziny później, dowiedziało się miasto, iż prezes tknięty apopleksją piorunującą, ze zbytku pracy i wyteżenia sił umysłowych,—mimo najgorliwszego ratunku — w kwiecie wieku życie zakończył.

Żal po zgonie tak czcigodnego obywatela był powszechnym.—Zgadzano się ogólnie, iż lepszego a gorliwszego urzędnika, stalszych zasad i większej energii człowieka. obywatelstwo nie miało... Pogrzeb był wspaniały, mowy znakomite... ból żony straszliwy— a dzieuniki ogłosiły nekrologi, w których postawiono uieboszczyka na równi z najzasłużeńszymi mężami w kraju: ho — de mortuis nil nisi bene.

*

*

*

Pani prezesowa już była zrzuciła żałobę po mężu. Zatem rok i sześć niedziel od zgonu nieodżałowanego w obywatelstwie człowieka upłyнуło — ku pięknej a majątnej wdowie wielu już nie tylko wdowców, lecz nawet złotej młodzieży i starszych ichmościów słało oguiste westchuienia.

Doktorowa pielęgnowała swe kwiatki. Kudelka pieścił się z książkami. których piękności już mu oczy dobrze uawet przez lupę oglądać nie dozwalały, a piękna panna Tola pozostała jeszcze nie zamężną i p.

Teodor Murmiński, który sobie wioskę kupił w sąsiedztwie,—zajęty ogrodem i kwiatami. rzadko ją nawet widywać miał pozwolenie.

Zdaniem doktorowej kochali się oboje szalenie—ale miłość ich była jakaś oryginalna... nie spiesząca się — której zacna wdowa wcale zrozumieć nie mogła...

Wprawdzie jawnem było. iż zawsze hr. Maurycy stał na zawadzie, ale z pewnością kochankowie by go mogli pominąć i po ślubie dopiero prosić o błogosławieństwo.

Tymczasem przy najczulszych stosunkach oboje byli zagadką dla widzów, a przedmiotem niemego podziwu i prawie oburzenia dla szanownej przyjaciółki. Gniewała się na nich. czasem nawet bardzo mocno...

Próbowała wybadywać Tolę. ale się nic nigdy rzeczywistego od niej dowiedzieć nie mogła — dawała do zrozumienia Teodorowi, iż powinien był naglić i przyspieszać ślub — o którym nawet mowy nie było jeszcze.—Tola śmiała się, Teodor milczał.

— Niezmiernie też ciekawa. jak się to skończy! mówiła doktorowa.

Widywały się z Tolą bardzo często. czasem bywały razem po kilka tygodni — przyjaciółka szpiegowała, widziała biegające listy—asystowała odwiedzinom długim Murmińskiego i nie mogła się dowiedzieć, co ich wstrzymywało od ślubów.

— No, cóż wy myślicie? co wy robicie? czemu się już raz nie pobierzecie? mówiła Toli.—Wierz mi. moje serce. że ten wasz romans do niczego nie podobny.—Cały świat wie. że się kochacie.

Tola ruszyła ramionami.

— Ale niezawodnie...

— Zatem czegoś czekacie...

— Jakoś się nie składa...

— No? i kiedyż się to raz skończy?

— A! musi się przecie skończyć, uśmiechała się Tola... bądź spokojną...

— Jakże? czy to on się namysła? nagliła pytaniami

— I ja—i on... tak... on!

Tola śmiała się.

— I ty to znosisz? Przyznam ci się, moja droga, że gdyby o mnie kto w ten sposób ślamazarny się starał a kazał mi na siebie czekać — no! na złość mu. poszłabym za mąż za kogo innego!

Wesołe, spokojne—wejrzenie Toli, zupełnie zmiejszało doktorową.

— Słowo ci daję, że was — obojga nie rozumiem... łaski Bożej nadużywacie.

Za drugim razem doktorowa napadła na Teodora...

— Panie Teodorze! co wacpan najlepszego myślisz? co to jest? do czego to podobne?

— Co pani? co takiego?

— A! no — ta twoja miłość flegmatyczna dla Toli... To nie do zniesienia. Któż kiedy słyszał coś podobnego? Żenisz się czy nie?

A! pani! byłbym najszcześniejszym?

— Dla czegoś nie chcesz być tym najszcześniejszym... pytała przyjaciółka.

— Wie—pani? dla tego że ja i tak jestem już bardzo szczęśliwy...

— A wiesz! że to oszaleć z wami można! kto to zrozumie!

— Czyż może być większe nieszczęście nad tę spokojną kontemplację tak cudnej istoty! tego ideału! nad jej towarzystwo poufale... rozmowy...

Doktorowa rozśmiała się ironicznie.

— Bałamncisz, zawołała—cała rzecz. że waćpan jej nie kochałeś, nie kochasz a sam nie wiesz co robisz! Starzejesz się—stygniesz! Najcierpliwszą kobietę taka miłość kontemplacyjna może rozgniewać.

— Przecież panna Tola dosyć jest dla mnie łaskawą...

— Rzeczywiście jest nadto dobrą, odpowiedziała przyjaciółka—znosi jakieś teorje bez sensu! Młodość, życie, których jednej godziny szkoda, poświęćcie dla marzeń jakichś bałamutnych... Ja panu tylko powiem. że już z was ludzie się śmieją. a ja was łaję... Ot tak drogie lata mijają... na kontemplacjach — to nie ma sensu! Będziecie mieli dość czasu na starość żyć marzeniami i wspomnieniami.

Teodor nic nie odpowiedział.

Ile razy doktorowa przyjeżdżała na wieś. zawsze prawie zastawała Murmińskiego, grającego rolę niewyczerpaną kawalera starającego się, przywożącego bukiety, przesiadającego przy niej, wzdychającego okrutnie i odjeżdżającego do domu tak samo jak przybył—bez oświadczenia i przyrzeczenia.

— Cóż, czy ci się jeszcze twój bohdan nie miał odważyć oświadczyć?—śmiała się przyjaciółka.

— Zbliżamy się ku temn!—żartobliwie odpowiadała Tola.

Raz na to pytanie odrzekła:

— Oświadczył mi się...

— No - więc kiedyż ślub?

— Prosiłam go o czas do namysłu...

Doktorowa nazajutrz wyjechała z gniewem wielkim. — Trzy miesiące znowu nplynęło... nie chciała się już nawet dowiadywać.

Nagle Tola przybyła sama do miasta. Przy pierwszym widzeniu się, gdy już ani pytała doktorowa o nic, pani baronowa Teresa wydała się z tem, że jadą do Włoch...

— Jak to? same? jedziecie do Włoch? na długo? zapytała oburzona.

— Nie wiem, szepnęła baronowa — Tola nigdy nie mówi, ile zabawi, ale po wyborze i kasie uważam, że zabawimy pewnie kilka miesięcy.

Zgorszona tem niezmiernie przyjaciółka badała dalej baronową na stronie.

— Dawno jak był u was Teodor?

— Ale wczoraj na najczulszem w świecie pożegnaniu.

— Cóż oni? powarjowali czy co?

— Nic nie wiem nad to — mówiła pocichu Teresa — że to jest podobno dziwactwo Toli; — kilka razy prosił. błagał — odkładała... odciągała. wypraszała się pod różnemi pozorami, a jednak puścić go nie myśli i trzyma przykutym na łańcuchu.

— A! więc to jej wina?

— O! z pewnością!

— I on to tak cierpliwie znosi?

— Pani wie — dodała Teresa, że z moją kochaną Tolą trudno się spierać, albo ją przełamać. gdy sobie co raz powie. — Nie wiem co powiedziała sobie. ale kazała czekać. a pan Teodor mnsi.

— I nie nagli?

— Owszem, ale to nic nie pomaga?

Doktorowa bardzo zgorszona, zamilkła sama już nie wiedząc co sądzić.

Trzeciego dnia ze łzami przecie żegnając ją. prosząc o błogosławieństwo na drogę. Tola wyruszyła w podróż zamierzoną.

W parę tygodni potem, stary pocziwy Kudełka przeniósł się do wieczności, jak sam zwykł był żartobliwie powiadać, na bibliotekarza do patryarchy Abrahama. Na dwa dni przed zgonem, czuł się bardzo już niedobrze, drzemał ciągle. — Najrzadsze książki spadały mu z kolan -- oczy się zamykały na najśliczniejsze druki — czuł jakąś niewysłowioną spoczynku potrzebę. Chodził jednak uparty. nie chcąc się kłaść w łóżko. — Ostatniego dnia nawet ubrał się z pomocą chłopaka, siadł w fotelu — potem zasnął i już się nie obudził...

Wezwany na pogrzeb przybył Murmiński, zając się ostatnią posługą.

Z doktorową spotkali się na cmentarzu, gdy już wychodzili od świeżo zasypanej mogiły.

Za bramą odezwała się do niego.

— Cóż, mój biedaku, straciłeś przyjaciela i owdowiałeś po bogdance? gdzie się ona podziewa.

Teodor westchnął tylko.

— Jakże bo ją mogłeś opuścić tak samą jedną. Te mn posłuszeństw, przyznaję się, wydziwić się nie mogę. Zarazem też i w miłość waszą zobopólną wierzę coraz mniej. Waćpan jesteś ciemiegą, a ona dziwaczką.

Dziewczynie, sierocie. może to jeszcze do pewnego stopnia być wybaczone, ale wam...

Ruszyła tylko ramionami.

— Wystawiony jestem na próbę, droga pani, odparł Teodor — Toli tyle o moich szalach, awanturach, niespokojnym charakterze i dziwactwach naopowiadało, iż—choć dla mnie jest łaskawą — sądzę, że trochę może kocha, a daleko więcej się boi.

Hrabia Maurycy z kollaboratorami odmalował mnie przed nią w ten sposób, iż ja sam nawet nie mogę zatrzeć wrażenia tego obrazu mistrzowską skreślonego ręką.

W szkalowaniu człowieka, jak w robieniu karykatur, jest wielka sztuka i umiejętność — potwarz będzie tak do twarzy podobna, iż jednej od drugiej trudno potem oddzielić. Z taką sztuką odmalowano mnie przed Tolą;—schwycono prawdziwe fakta mego życia, wykrzywiono je tylko i dziś odprostować trudno.

Wyrazy te Teodor rzekł smutno, ale z rezygnacją.

— Ale pókiż u licha myśli cię tak trzymać na tej nieszczęśliwej próbie — przerwała oburzona doktorowa — podziwiam bezprzykładną pańską cierpliwość — a raczej nie wiem już jak to nazwać.

— Nazwij to pani miłością i — nic więcej — dodał Teodor—ja z pewnością wytrwam na próbie.

— No—a Toli nie rozumiem i gniewam się na nią — mruknęła doktorowa. Wiesz pan, że ona do Rzymu i Neapolu wyjechała, bodaj na kilka miesięcy.

— Tak—pani—miewam nawet listy.

— A jechać ci zakazano—czy co?

— Nie śmiej — posądzonoby mnie o zbytnią niecierpliwość.

— A no, rób że już sobie co chcesz — z niecier-

pliwością dokończyła doktorowa — slyszec o was nie chcę!

W tydzień potem zjawił się Teodor, ale z bardzo wesołym obliczem na progu pani doktorowej.

— A! znowu waćpan w mieście?

— Po drodze — łaskawa pani — jadę...

— Dokąd że?

— Pozwolono mi naostatek do Neapolu gonić! zawołał ucieszony — pędzę więc na złamanie karku i sądzę, że trzeciego dnia tam będę.

Zatrzymać go już nie mogła ani godziny doktorowa — tak się spieszył. aby pierwszego odchodzącego pociągu nie stracić.

— Najpiękniejsze ukłony Toli — dodała ściskając jego rękę — i powiedz ode mnie, że się nawet prezesowej wyprzedzić dała, choć tamta miała żalobę i srogi żal do przenoszenia. a w tych dniach idzie za mąż za pułkownika. Czasby więc, aby i ona się rozmyśliła.

Prezesowa miała z pięciu pretendentów do wyboru, między nimi byli chłopcy młodzi i śliczni, jak z igły; rozumna kobieta wzięła starszego adoratora, który się szczęściem domowem zadowolni i — do wspólnej skarbony przynosi z pięknem imieniem najmniej piętnaście tysięcy talarów dochodu. — Jest za co siwiejące trochę włosy poczernić.

Teodor wyjechał.

Doktorowa zapomniała trochę o obojgu. gdy pocztą odebrała list bardzo pięknie sztychowany oznajmujący urzędownie, iż ślub w Neapolu u sw. Kajeta-

na się odbył. Tola dołożyła kilka słów oznajmujących, że w Castellamare przebędą jeszcze parę miesięcy nim do kraju powrócą.

Pod cieniami więc starych tych kasztanów. na zgliszczach Stabii. w ciszy uroczystej przerywanej tylko szumem fali rozbijającej się gdzieś o nadbrzeżne skały, młode małżeństwo przedumało pierwsze dni szczęścia swojego. Piękniejszego kątko nad to gniazdko trudno wybrać.

Naostatek jednego dnia ujrzała ich oboje pocziwa przyjaciółka i ciekawemi oczyma zmierzyła Tolę, która wypiękniała i odmłodziła, zrzuciwszy z siebie szatę tego poważnego smutku, która do jej wieku nie przystawała. Teodor zmienił się więcej może i co najdziwniejsza, odzyskał prawie trzpiotowatość młodzieńczą. Przypominał on tym, co go znali dawniej, pierwsze lata wyjścia na świat, gdy był pieśczonek dziecięciem ś. p. prezesowej.

Gdy na chwilę pozostały same, doktorowa jeszcze nie mogąc przebaczyć Toli jej zwłok i wahań, napadła na nią z wymówkami, — ta zamknęła jej usta uściskiem.

— Droga moja... rzekła — musiałam Teodora nie wypróbować, bom w niego wierzyła, ale dać mu czas ostygnąć, pojednać się ze światem. zrzucić z serca gorzyc nagromadzoną laty długiem... Byliśmy ciągle razem... mogę powiedzieć, że podjęłam na nowo wychowanie człowieka... Musiałam pamiętać o tem, że go raz już rozpacz doprowadziła na skraj samobójstwa... a tylko traf szczęśliwy mi go uratował... Wierz mi droga moja, że najtrudniej uleczyć duszę zatrutą nienawiścią dla ludzi i świata. Na uroczystą godzinę na-

szego wesela musiałam czekać, aż się ze światem przejedna, aż ludziom przebaczy, aż wniwdzie duchem na te wyżyny, z których już chmur nie widać tylko jasne słońce... Krok w krok szłam za nim, gdy z tego wygnania i tułactwa sercowego. w które był wtrącony, powracał... Czekałam — płakałam — cierpiałam — lecz i dla mnie i dla niego potrzeba było. ażeby mój Teodor się odrodził. Przez ten rok nowicjatu, wśród ciszy wiejskiej. oboje pracowaliśmy nad tem... ani on, ani ty — nie rozumieście mnie, nie wiedzieliście wiele łez wylałam. gdym wśród pięknej jego duszy znajdowała jeszcze narzucone w nią błoto — i niestarte przeszłości plamy...

Miłość była lekarstwem...

— Wieszże. ludzie sądzili mnie dziwnie i powtarzać mogli. że ty nawet. droga moja — nie chciałaś tej dziwaczki Toli zrozumieć — wszystko to znieść trzeba było... musiałam...

Doktorowa ucałowała ją czule...

— Wiesz Tolu droga, rzekła — ja bym nigdy w świecie rozumu tego nie miała — a miłosierdzie byłoby mi nie dopuściło rachuby... Podziwiam cię tem bardziej, że naśladować bym nie potrafiła.

Na cmentarzu miasta... wznoszą się trzy grobowce nowe — jedno z najpiękniejszych, jakimi on jest ozdobiony... Pierwszy z nich składa się z ogromnej nieociosanej bryły granitu. okrytej powojami... Wpuszczona w nią tablica marmurowa nosi imię Murmińskiego... U dołu wyrzeźbiony kij. torba żebraka i księga...

Wiele osób znajduje. że chwalić się kijem i torbami jest rodzajem fanfaronady, inni tłumaczą się tem. żeśmy na ziemi wszyscy wędrowcy...

Drugi grobowiec z białego marmuru, w stylu korynckim. z napisem rzesisto wyślacanym, wystawia u góry niewiastę udrapowaną prześlicznie, spartą na nrmie, a patrzącą na krzyż. u stóp którego stanęła... Alegorja ta dosyć pospolita. tysiąckroć powtarzana, staraniem prezesowej sprowadzona wprost z Karrary. gdzie takie rzeczy na handel secinami się produkują, uchodzi za arcydzieło u ludzi, którzy nic lepszego nie widzieli. Marmur jest bardzo piękny. tylko przez twarz zakwefionej niewiasty niefortunna żyła szara jak pręga płamista przechodzi.. Na tablicy tak ogromny jest spis tytułów, godności, zasług i tyle pochwał, że nim do A v e M a r i a dojdzie czytelnik, odpoczywać musi po drodze...

Jest to grób nieodżałowanego prezesa, po którym po dziś dzień prowincja nosi żałobę.

Trzeci grobowiec, na skromnym piedestalu wyobraża ogromną rozłożoną, na stosie pomniejszych spoczywającą księgę, otoczoną zwojami papierów... gałęzmi roślin i kielichami kwiatów... Na kartach księgi — stoi nazwisko profesora Kudelki — poczciwego starszaka... którego pamięć żyje tylko w sercach uczniów...

Tyle lat pracy potrzeba było na zebranie szacownej biblioteki... a wkrótce po zgonie rozproszyli ją spadkobiercy.. Doradził im ktoś sprzedaż szczegółową, choć Teodor chciał całą zakupić... Musiał więc, aby coś z niej ocalić, stawać na licytacji, bić się o każdy szpargał, i wiele rzeczy szacownych uronionych zostało... Resztki rozdrapali różni, na obwijanie towarów, na klejenie tektury, do oszczędnego wylepiania ścian pod nowe obicia...

Zwykle ludzkich zbiorów dzieje... rozprasza się wszystko i łączy znowu i rozsypuje i ginie .. a na każdej z tych żółtych kart ileż spoczęło dłoni, które dziś także spopielaly w grobie... P u l v i s s u m u s.

K O N I E C.



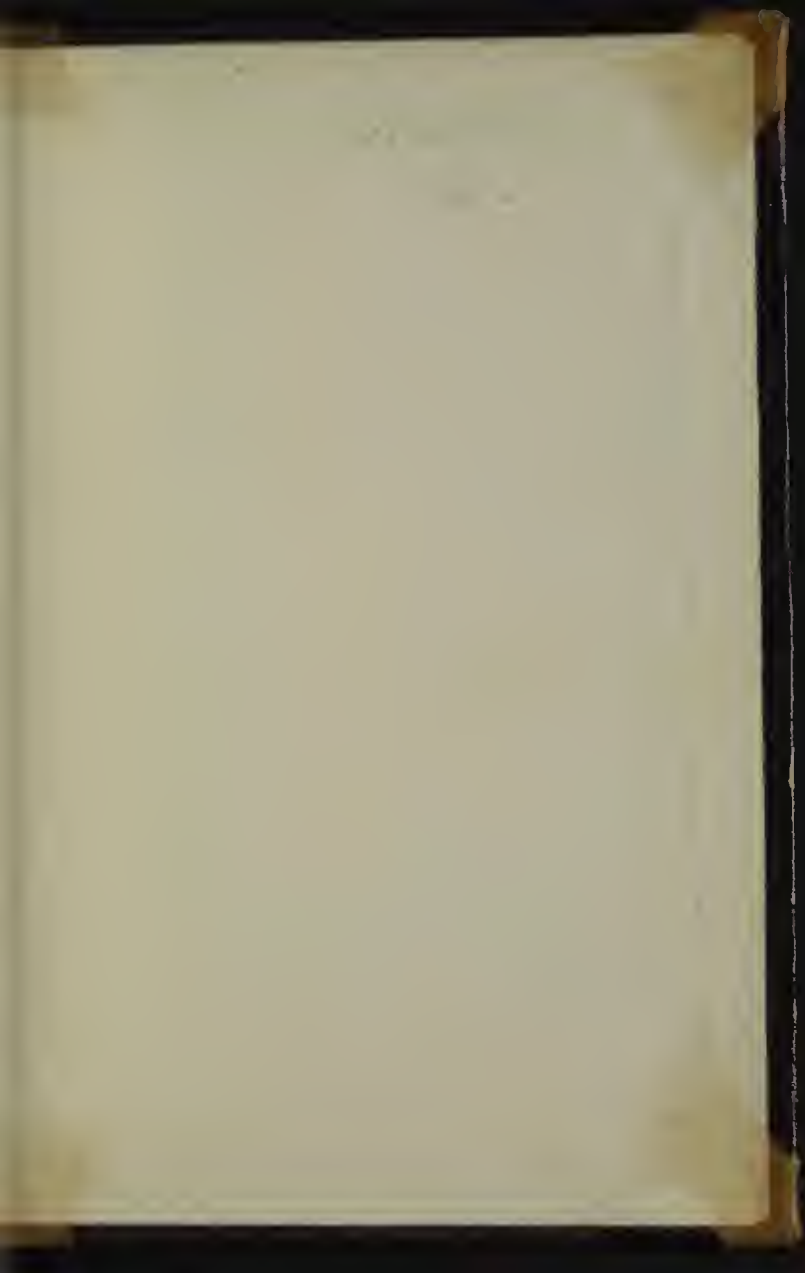












Biblioteka Raczyńskich

JIK 1670



JIK1670